

+ 4

KOMUNIKAT



nr **2/25**
czerwiec 2004

Zarządu
Głównego
Towarzystwa
Przyjaciół
Ziemi
Łomżyńskiej

**XXV
Walny
Zjazd
Delegatów TPZŁ**

Dni Łomży 2004

Z udziałem ordynariusza diecezji, bpa Stanisława Stefanka, wojewody podlaskiego Marka Strzalińskiego, starosty Wojciecha Kubraka w auli Ratusza 15 czerwca odbyła się uroczysta sesja Rady Miejskiej na 586 rocznicę nadania łomży praw miejskich. Obecna była dyrektor naczelna Archiwów Państwowych, prof. Daria Nałęcz.

Sesję otworzył staropolski hymn „Gaude Mater Polonia” w wykonaniu zespołu Voci Unite. Kamil Borusiewicz zagrał na trąbce hejnał miasta. Gości witał przewodniczący RM, Jan Jaroła. Prezydent Jerzy Brzeziński przypomniał najważniejsze wydarzenia w ponad 1000-letniej historii nadnarwiańskiego grodu. Dr Maciej Kozłowski z Archiwum Głównego Akt Dawnych (Łomżyniak) dokonał prezentacji multimedialnej „Łomża w dokumentach archiwalnych”. „Łomżyniaci Europy” – to z kolei temat wystąpienia dr. Krzysztofa Sychowicza (też łomżyniak) z Instytutu Pamięci Narodowej w Białymstoku. O przypadającym w tym roku jubileuszu 500-lecia Katedry mówił ks. kanonik Marian Mieczkowski – proboszcz parafii Katedralnej. Bezpośrednio po zakończeniu sesji jej uczestnicy udali się do Katedry na Mszę św. w intencji żyjących i zmarłych mieszkańców łomży.



Program tegorocznych Dni Łomży jest – jak zwykle – bogaty. Odbył się już Międzynarodowy Festiwal Teatralny Walizka (TLiA), oraz Polonijne Igrzyska Młodzieży Szkolnej („Wspólnota Polska”). Rozstrzygnięta została III edycja konkursu „Spotkania z Ziemią Łomżyńską”. W Klubie Garnizonowym odbył się konkurs „Uśmiechnięte strofki” przygotowany przez Teatr Żywego Słowa „Logos”. Na stadionie miejskim zakończyła się siódma już edycja Czwartków Lekkoatletycznych. W skate parku Spółdzielni Mieszkaniowej „Perspektywa” odbył się wielki festyn „Swojsko i wesolo”. W Galerii „Pod Arkadami” promowano pierwszy tomik poezji Klubu Młodych Literatów oraz otwarto jubileuszową wystawę malarstwa Henryka Osickiego.



Kolejne imprezy:

16 czerwca
otwarcie wystawy pokonkursowej „Dawno, dawno temu w łomży”,
17 czerwca
Koncert łomżyńskiej Orkiestry Kameralnej z udziałem Joanny Cortes,
18 czerwca
„Łomża i reszta świata” – meeting rockowy,
19 czerwca
„Popołudnie poetów” – finał V edycji Konkursu Jednego Wiersza (MBP),
20 czerwca
Studio Lato Radia Białystok – festyn muzyczny z udziałem zespołu De Mono. Większość imprez przygotował Miejski Dom Kultury – Dom Środowisk Twórczych w łomży. 14 sierpnia b.r. Poczta Polska w cyklu „Świątynie Polskie” wprowadzi do obiegu znaczków z wizerunkiem Katedry łomżyńskiej.

SŁOWO OD PREZESA



Kończymy trzyletnią kadencję władz Towarzystwa. Dziś zastanawiać się będziemy nad programem działalności na następną. Czas na podsumowania i podziękowania. Dziękuję za aktywność wszystkim Koleżankom i Kolegom, za sprawą których odnotowaliśmy osiągnięcia na każdym polu naszej statutowej działalności. Mamy świadomość, że są sprawy, którym należało poświęcić więcej uwagi. Niech staną się pomostem między obecną a przyszłą kadencją. Zachęcam do twórczych postaw podczas Zjazdu – postaw otwierających kolejny etap tej ważnej działalności na rzecz naszej Drogiej Ziemi łomżyńskiej. Dziękuję.

Zygmunt Łokawczy
Prezes ZG TPZŁ

I po kadencji

Zakończyła się kolejna kadencja władz oddziałów i Zarządu Głównego TPZŁ. Na jej szczegółowe podsumowanie przyjdzie pora na 25. Walnym Zebraniu Delegatów. W telegraficznym skrócie chcemy zatem tylko zaprezentować to, co miało miejsce w naszych oddziałach w ostatnich kilku miesiącach.

GDAŃSK

Oddział istnieje od 1968 roku. 26 lutego b.r. podsumowano trzyletnią działalność, zwracając uwagę na mało obiecujące perspektywy rozwoju oddziału. „Młdzież nie czuje więzi z Ziemią tomżyńską, nawet wtedy, gdy ich rodzice są rodowitymi tomżyniakami” – cytat ze sprawozdania z pracy. Oddział skupia obecnie 17 członków. Prezesem oddziału na kolejną kadencję został ponownie Zygmunt Wierciszewski.

KRAKÓW

Zgromadzenie sprawozdawczo-wyborcze oddziału odbyło się 28 lutego w Muzeum Czynu Niepodległościowego. Przyszło jedenastu spośród 26 członków TPZŁ. Dyskutowano głównie o trudnej sytuacji towarzystw regionalnych w obecnej rzeczywistości, słabej niestety frekwencji na spotkaniach koleżeńskich. Oddział Krakowski należy do Towarzystwa Przyjaciół Kultury Ludowej i Małopolskiego Ruchu Regionalnych Towarzystw Kultury. Prezesem na nową kadencję została ponownie Ewa Chętnik-Donatowicz.



WARSZAWA

Na zebranie oddziału warszawskiego 26 lutego 2004 r. pofatygował się osobiście prezydent tomży, Jerzy Brzeziński, który bardzo ciepło odniósł się do inicjatyw warszawskich tomżyniaków. Niestety, zabrakło prezesa oddziału Andrzeja Bebtowskiego, który niespodziewanie trafił do szpitala. Dyskusja była bardzo burzliwa i dotyczyła m.in. konieczności przeprowadzenia ponownej weryfikacji członków, zwłaszcza tych którzy zalegają z optacaniem składek członkowskich oraz ewentualnego podniesienia wysokości składki miesięcznej. Obecnie na liście członków znajduje się 126 osób. Niestety, prawie 30 nie odpowiada na zaproszenia i nie płaci składek. Nowym prezesem oddziału został Jerzy Sawicki.

KOLNO

Tej kadencji oddział kolneński do udanych zaliczyć nie może. Na szczęście znaleźli się ludzie, którzy postanowili realizować swoje pomysły dla dobra Kolna pod szyldem Towarzystwa Przyjaciół Ziemi tomżyńskiej. Skrzyknęli się i wybrali nowe władze, na czele z prezesem Zbigniewem Podeszwikiem. Na liście członków jest 21 osób.

KOSZALIN

Tu tomża „bucha” nad morzem. 50 członków zwyczajnych, tęskniących za sobą wzajem, spotykających się przy różnej okazji, a w dodatku świetnie te swoje urokliwe spotkania dokumentujących. Gdyby w każdym oddziale była taka „Kronika”... Integracja środowiska tomżyniaków (jakiż apetyty i plany rozwoju!), kultywowanie i propagowanie tradycji, obyczajów i folkloru Ziemi tomżyńskiej, uroczystości okazjonalne, folklorystyczne, koleżeńskie, promocja publikacji Zarządu Głównego TPZŁ, a nawet... próba utworzenia organizacji gospodarczej – to tylko niektóre w punktów nowego programu pracy oddziału. Prezesem na nową kadencję wybrano ponownie Jana Przestrzelskiego.



STAWISKI

28-letnia historia oddziału zasługuje na upowszechnienie i uznanie. Jubileusz wsi i parafii Poryte, 100-lecie powstania parafii w Stawiskach, odświeżenie odrestaurowanych pomników Niepodległości i Józefa Piłsudskiego w Porytem, obchody 75-lecia Ochotniczej Straży pożarnej w Porytem i 100-lecia OSP w Stawiskach, spotkanie z potomkami rodu Kisielnickich – to tylko niektóre inicjatywy, w jakich udział brali członkowie oddziału. Teraz chcą odnowić bramę wjazdową przy ul. Kossaka, by wyglądała elegancko na 120 rocznicę zawarcia związku małżeńskiego Wojciecha Kossaka z Marią Kisielnicką. Chcą opracować i wydać monografię Stawisk. W oddziale jest 23 członków, a przewodzi im wybrany ponownie na prezesa Janusz Kossewski.



➔ ze str. 3

I po kadencji

OLSZTYN

Bardzo sympatyczna, ciepła atmosfera towarzyszyła sprawozdawczo-wyborczemu spotkaniu łomżyńców olsztyńskich w gabinecie prezesa, prof. Henryka Piaścika w Kortowie. To za sprawą uczestników spotkania, w tym „ambasadora” oddziału w Zarządzie Głównym, Krystyny Kozietło – Poklewskiej. Dyskusja (momentami „na ostrzu noża”) dotyczyła m.in. potrzeby wyjaśnienia wielu epizodów z łomżyńskiej historii, m.in. pogromu Polaków w Gromadzinie Starym, pomocy ludności żydowskiej w Nowogrodzie itp. Znacymy jest pomysł utworzenia koła studenckiego na Uniwersytecie Warmińsko – Mazurskim, gdzie na jednym tylko z wydziałów studiuje 20 łomżyńców. Oddział w ciągu kadencji powiększył się o 11 osób. Jest ich obecnie 32. Nowym prezesem został prof. Henryk Piaścik.



BIAŁYSTOK

31 członków mamy obecnie w oddziale białostockim. Przez trzy ostatnie lata przybyło 18 (!) osób. No i gdzie te narzekania na brak zainteresowania działalnością w TPZŁ?! To najbardziej „profesorowany” oddział w kraju. No i znakomite inicjatywy: Biesiada Miodowa w Kurowie, konkurs na prace magisterskie o Ziemi łomżyńskiej, teraz jeszcze Dzień łomży i Mazowsza w „Dniach Białegostoku”. Być może mariaż firmy łomżyńca z Koszalina Andrzeja Tomaszewskiego i łomżyńca z Białegostoku Stanisława tuniewskiego zaowocuje nowymi rozwiązaniami w oczyszczaniu miasta? Prezesem na nową kadencję została ponownie Anna Badyda, co gwarantuje nam kwiecistość wszystkich tekstów, łącznie ze sprawozdaniami z pracy i tekstami do „Komunikatu”.

JEDWABNE

Miło nam powitać koleżanki i kolegów z Jedwabnego w Towarzystwie Przyjaciół Ziemi łomżyńskiej. Nasz „osesek” ma się całkiem dobrze, jest dość pożyteczny (24 członków), uroczy (zdecydowana większość

to panie) i... smakowity (bardzo znakomite ciasteczka). Oddział powstał z inicjatywy pani Bożeny Kubrak – żony Starosty łomżyńskiego. Uczestnicy zebrania nie mieli też najmniejszych wątpliwości, by powierzyć jej prezesurę w zarządzie oddziału.



ZAMBRÓW

Jubileusz 20-lecia oddziału sprowokował członków do refleksji o, choćby nad stanem oddziału. Obecnie jest tu 18 członków, ale przecież były takie lata, kiedy składki płaciło 70 osób! Pomarzyć... Ale ci co zostali – podobno są najwierniejsi. Interesowali się bardzo ochroną zabytków Zambrowa, pojechali na wycieczkę śladami bohaterskich walk żołnierzy polskich i ludności cywilnej w 1939 r. i w czasie okupacji niemieckiej, bardzo interesowali się sytuacją w zambrowskich zakładach pracy, no i nie szczędzili czasu na spotkania towarzyskie. Będą opiekować się grobami powstańców, zdobywać pieniądze na renowację miejsc pamięci. No i rzecz zasadnicza: „Zambrowiaczy czują się Mazowszanie, my nie chcemy być Podlasiem. Niech Zarząd Główny TPZŁ dąży do wyznaczenia granic między Podlasiem a Mazowszem”. Prezesem został ponownie Franciszek Tarnowski.

ŁOMŻA

Ze 154 członkami – o 32 (!) więcej niż na początku kadencji – zakończył minioną kadencję oddział łomżyński. To jedyny jak na razie oddział, przy którym funkcjonują koła młodzieżowe TPZŁ. Pielęgnowana jest tu tradycja rocznicowych spotkań przy grobach pomordowanych mieszkańców łomży w Jeziorku. Oddział uczestniczył w przygotowaniach uroczystości nadania Szkole Podstawowej w Konarzycach imienia bohaterskiej łączniczki „Jadzi” Dziekońskiej. Co roku – w ramach kwesty zbierają pieniądze na renowację cmentarnych zabytków. Bardzo udane były wyprawy na piątnickie forty, do łomżyńskiego Parku Krajobrazowego Doliny Narwi i Muzeum Przyrody w Drozdowie. Tych inicjatyw było znacznie więcej, ale ustępujący prezes Eugeniusz Dąbrowski – we wrodzonej swej skromności – sprawozdanie z kadencji ograniczył tylko do niezbędnego minimum. Oddał stery Stanisławowi Grodzkiemu.



DELAGACI NA XXV WALNY ZJAZD DELEGATÓW TPŻŁ

BIALYSTOK

1. Kazimierz Dębowski
2. Adam Dobroński
3. Ryszard Wiśniewski
4. Zenon Świtaj

GDAŃSK

5. Tadeusz Butler
6. Zygmunt Wierciszewski
7. Bogdan Cwaliński

JEDWABNE

8. Ewa Mańko
9. Bożena Kubrak
10. Joanna Prószyńska

KOLNO

11. Zbigniew Podszewik
12. Krzysztof Uścińowicz
13. Wiesław Niedbala

KOSZALIN

14. Urszula Bednarczyk-Grabowska
15. Janusz Grzymkowsk
16. Alicja Grzymkowska
17. Jerzy Szymański
18. Andrzej Tomaszewski

KRAKÓW

19. Wiesława Wiatr
20. Ewa Chętnik – Donatowicz

ŁOMŻA

21. Irena Wagner
22. Wiesława Szymańska
23. Eugeniusz Dąbrowski
24. Józef Babel
25. Wawrzyniec Kłosiński
26. Antoni Dudo
27. Stanisław Grodzki
28. Janusz Gwardiak
29. Halina Marczuk
30. Zygmunt Zdanowicz
31. Krzysztof Sychowicz
32. Ryszard Kozłowski
33. Waclaw Jerzy Kierażyński
34. Edward Matejkowski
35. Elżbieta Knopkiewicz
36. Waldemar Pędziński

MAŁY PŁOCK

37. Zofia Konopko
38. Wiesława Pastawska

NOWOGRÓD

39. Jarosław Choromański
40. Józef Piątek
41. Irena Tyszka
42. Elżbieta Chmielewska

OLSZTYN

43. Andrzej Gąsiorowski
44. Marian Filipkowski
45. Krystyna Koziello-Poklewska

STAWISKI

46. Bolesław Krzywda
47. Andrzej Kępa
48. Kazimierz Frąckiewicz

WARSZAWA

49. Jerzy Sawicki
50. Maria Sawicka
51. Irena Rymwid-Mickiewicz
52. Irmina Molenda
53. Andrzej Bebtowski
54. Zofia Chętnik
55. Teresa Cibor
56. Witold Czerniawski
57. Janusz Dziarski
58. Alina Kacpura
59. Maria Kulczyńska-Suchocka
60. Irena Kwaśniewska
61. Halina Miroszowa
62. Zofia Twaróg
63. Andrzej Zaluska
64. Jerzy Tomaszewski

ZAMBRÓW

65. Bogdan Sobociński
66. Dominik Gontarz



Anna Ostrowska

Nowogrodzka, jaką pamiętam

W „Zeszytach łomżyńskich” 1/21 przeczytałam o postulatcie do Rady Miasta łomży o przywrócenie ulicy Nowogrodzkiej nazwy z okresu międzywojennego. Rozumiem chęć uhonorowania, a także utrwalenia w pamięci mieszkańców miasta imienia jego bohatera, pułkownika Bolesława Mościckiego. Ale dla nas, powojennego pokolenia mieszkańców Nowogrodzkiej – zawsze będzie Nowogrodzką, ważnym miejscem na ziemi. Jestem więc przeciwna zmianie nazwy utrwalonej w pamięci łomżyniaków, logicznej i sympatycznej. Tak wiele teraz powstaje ulic, jestem pewna, że można by godnie uhonorować pułkownika Bolesława Mościckiego nazwą innej ulicy, niż ta właśnie.

Postulat zmiany nazwy, a także zamieszczone zdjęcie z Nowogrodzkiej (w tym mojego domu rodzinne-go nr 29) wzbudziły moje uśpione, zdawałoby się, że całkiem zaginione wspomnienia, związane z tą ulicą. Po prostu musiałam o tym napisać.

Skąd właściwie pochodzę? Czasem próbuję sobie odpowiedzieć na tak proste, a równocześnie skomplikowane przez wojenne losy pytanie. Ojciec i jego rodzina wywodzą się z Polesia, mama urodzona w Zagłębiu, choć jej ojciec – łomżanin, a matka – Kurpianka. A ja z Wilna. Fakt urodzenia w Wilnie nie czyni mnie wilnianką, gdyż nigdy tam nie mieszkaliśmy. Mieszkaliśmy za to w powiecie brastawskim województwa wileńskiego, w cudownym, malowniczym zakątku świata, zwanym przed wojną „Polską Finlandią”. Tam też minęły moje pierwsze lata, czas wojny. Potem repatriacja, powrót do łomży. Tu chodziłam „do szkół”, stąd wyruszyłam na studia. Tu wracałam podczas każdej przerwy w nauce, potem w czasie urlopów. Do domu, do mamy. A gdy już mama tu nie mieszkała, też każda okazja była dobra, by wpaść do łomży, do przyjaciół mamy i moich, lub tylko moich.

A więc skąd pochodzę? Ze wzruszeniem myślę o Wileńszczyźnie przechowanej w dziecińczych wspomnieniach, a także o tej obecnej, bliskiej sercu, urokliwej, pełnej miłych ludzi – choć obcej. Z przyjemnością wracam i z podziwem patrzę na Wilno – takie piękne... Ale tak naprawdę chyba jednak pochodzę z łomży. To z łomżą i łomżanami łączą mnie najsilniejsze więzy.

str. 6 

2/2004

KOMUNIKAT

Zarządu
Głównego
Towarzystwa
Przyjaciół
Ziemi
Łomżyńskiej

Nowogrodzka...

Z nieco naiwnym zdziwieniem konstatuję, że więzy czasu dzieciństwa są aż tak silne. Niezależnie od stopnia wzajemnej wtedy przyjaźni, przetrwały wieloletnie rozstania, różne drogi i zakręty życiowe. Nie tak dawno się o tym przekonałam, gdy po bardzo wielu latach znowu nawiązałam kontakt z koleżankami. Także z tymi z Nowogrodzkiej. Mimo upływu czasu, braku wiedzy „co, kto, kiedy”, spotkania są serdeczne, siostrzane, a tematów do rozmów zawsze więcej niż na nie czasu. Nie tylko bliskość nie znikła, ale jakby się zintensyfikowała.

Może dlatego, że nie było „wychowawcy” – telewizji, a i inne rozrywki dziś znane, były rzadkością, tak zwany czas wolny spędzało się na podwórku lub ulicy (co wtedy nie kojarzyło się tak jednoznacznie negatywnie!). Stąd wszyscy znaliśmy się dobrze, miesaliśmy wspólne sprawy, a nawet dość wyraźną solidarność danej ulicy. Myślę tu o Nowogrodzkiej.

Ulica Nowogrodzka. Idąc od strony miasta, po lewej stronie stał brzydki dom z bramą na podwórze (potem było tam Technikum Weterynaryjne, teraz zdaje się Urząd Pracy). Tu mieszkał z mamą i starszą siostrą Stefan Mikulik, późniejszy nasz kolega z gimnazjum. Potem długi mur, dalej następny odgradzający ładnie utrzymaną białą willę, gdzie mieściło się Łomżyńskie UB. Przed bramą uzbrojony wartownik informował tych, co się zapomnieli, że przejście jest drugą stroną ulicy. Ale zdarzało się to niezwykle rzadko, bo wszystkich paraliżował strach przed „białym domkiem”. Prawie naprzeciwko, spory plac aż do Bernatowicza, z odsuniętym od Nowogrodzkiej dużym gmachem gimnazjum. Między ulicą Bernatowicza a równoległą do niej Stacha Konwy, ogromny plac, pusty, ze śladami ruin. Mur UB kończył się na Ogrodowej, skręcał w tę uliczkę.

Tu zaczynał się parkan Ogrodu Spacerowego – ładny, na podmu-

rowce, przyjazny. Idąc dalej Nowogrodzką wąskim, brukowanym chodniczkiem, po przeciwnej stronie ulicy mijano się piętrowy drewniany budynek, ciemnożółty, pełen rzeźbionych ozdóbek w stylu rosyjskim. Na parterze przez wiele lat mieścił się sklep spożywczy. W nim najczęściej robiliśmy zakupy. Pamiętam ogromne kolejki po chleb (chyba w końcu lat 40-tych). Ale był wspaniały, szczególnie „sitkowy”, zwykle poważnie uszczuplany w czasie powrotu ze zdobyczą. Obok wysoki, drewniany płot i jakiś ogród.



1949 rok, obóz harcerski w Porąbce. Ja z Dziką Rokicką

Dalej kamienica w głębi podwórza z zewnętrznymi schodami i znowu duży, prosty, drewniany i ciemnożółty dom, gdzie mieszkał pan Stankiewicz-Malinowski, nauczyciel łaciny i niemieckiego. Mnie nie uczył, ale miał opinię świętego i bardzo wymagającego nauczyciela, będącego przy tym postrachem niesfornych. Obok, szczytem do ulicy, murowana oficyna – dom państwa Mocarskich. Tu mieszkał Zenek, serdeczny przyjaciel Orka, a także mój.

Za ogrodem oficyny była droga gruntowa do grobli prowadzącej do Lasu Jednaczewskiego i na Pulwy. Tam pasano krowy, więc rano i wieczorem pastuch z psem, jednynogi pan Wąszewski – nasz sąsiad, pędził stado. „Uczestniczką” stada była nasza krowa, repatriantka, Luba. Czy to z powodu krwi krowej, czy głębokiego przywiąza-

nia, a może z wrodzonej fantazji, zauważywszy mamę na ulicy, biegła za nią jak pies. Na dodatek domagała się pieszczot. Zachwycona spotkaniem, wsuwała róg pod ramię mamy i tak „pod rękę” wracały do domu.

Prawie naprzeciwko drogi do grobli był mały, ładny domek pana Stefana Werczyńskiego, nauczyciela gimnastyki i czasem, gdy to było ideologicznie możliwe, angielskiego. Pan Werczyński był w Armii Andersa i wrócił w battledress, czym zaskarbił sobie dodatkową sympatię (i tak był ogromnie lubiany i popularny). Jego domek otaczały wysokie brzozy, co było oryginalne i romantyczne przez swą niepraktyczność.

Obok zaczynał się ogród i dom naszych kuzynów, Stefanii i Aleksandra Kusiów. Był to ładny dom, w dużym i pięknym ogrodzie kwiatowym i warzywnym. Od strony ogrodu i tarasu mieszkali gospodarze, od ulicy na parterze pani Michalina Serdakowska, na piętrze państwo Wasząnikowie. W tym domu i ogrodzie, u Irki i Wini, najczęściej spotykaliśmy się całą gromadą w latach dzieciństwa. Często bywałyśmy tu też z mamą u ciotki Stefy Kusiowej, albo u pani Michaliny. Uwielbiałam słuchać jej bardzo ciekawych, barwnych opowiadań o czasach jej pobytu w Rosji, jeszcze carskiej i o straszliwych zdarzeniach rewolucji, którą tam przeżyła. Ogromnie też ciekawie umiała mówić na wszelkie tematy historyczne. Pan Wasząnik był dystyngowanym, uprzejmym mężczyzną, a w jakimś czasie posłem na Sejm. „Chodził” o nim taki wierszyk, związany pewnie z jakimś projektem poselskim:

„Szlachetnej postawy,
pełen siwizny,
chętnie by pojechał
kolejką do Wizny”.

Dalej zaczynała się posesja babci Lipińskiej. Babcię Julię Lipińską, cioteczną siostrę mego dziadka Rudowskiego, pamiętam jako ogromnie miłą, ciepłą i serdeczną. Zawsze miała dla nas coś dobrego, gdy z Irką i Wińką, lub większą ferajną wpadałyśmy do niej. Zawsze była bardzo elegancka i przystojna mimo podeszłego wieku i męczących cho-

rób. Mieszkała w małym drewnianym domku na swej obszernej po-



1950 rok, panie: Stanisława Święcicka, Michalina Serdakowska, Janina Wystouch

sesji składającej się z domów, pól i ogrodów. W należącym do babci piętrowym domu na parterze były jakieś biura, a na piętrze mieszkały nasze najbliższe koleżanki – Wieska i Hanka Rzodkiewiczówny.

Irka, Winia, Wieska, Hanka i ja przebywałyśmy razem najwięcej. Co robiłyśmy, jakie były nasze rozrywki, już nie bardzo pamiętam. Na pewno często były to zabawy piłką, nie tyle gra, co odbijanie niewielkiej piłki o mur „z figurami”, czyli w różnych pozycjach. Wszelkie odmiany zabaw ze skakanką, a raczej wtedy sznurem; klasy, państwa. Irka twierdzi, że często bawiliśmy się w chowanego na posesji babci i w „czarnego luda”, wrzeszcząc z autentycznego przerażenia wniebogłosy. Najbardziej ulubiona na niepogodę była gra w kamienie, lub „figury” ze sznurka zbieranego z dłoni przez drugą osobę. Pamiętam również sanki i ulubione „podjeżdżanie” na płozach konnych sań.

Te zimowe zabawy odbywały się na ulicy, gdyż ruchu samochodowego praktycznie nie było, śnieg nie był odgarniany ani posypywany solą, komunikacji miejskiej nie było wcale, a Nowogrodzką jeździły tylko wozy, w zimie sanie z pobliskich Skowronek czy okolicznych wiosek. „Podjeżdżanie” na saniach było bardzo popularne, a woźnice parzyli na to wyrozumiale.

Pamiętnym zdarzeniem na Nowogrodzkiej (ja niestety tego nie pamiętam, podaję za Irką), było, gdy wujek Kusio leczył słonia z cyrku. Słoń został doprowadzony na podwórze, budząc nie lada sensację. A dziewczynki miały darmowy wstęp na przedstawienia! Ja najlepiej pamiętam wujka, gdy leczył naszą krowę, gdy łakomczucha najadła się łętów od ziemniaków czy innego świństwa. Był bardzo miły, ciepły, zawsze poświęcał mi uwagę i poważnie traktował w rozmowach.

str. 9 ➔

Lucyna Osiecka-Pakuła

Szkolnictwo pedagogiczne w Łomży po I wojnie światowej

Daty założenia Męskiego Seminarium Nauczycielskiego w Łomży nie znam. Wiem jedynie, że w roku 1918 pan Chalamoński już tam pracował, podobnie jak p. Auguściak i p. Malinowska, w latach dwudziestych. W seminarium uczył się nasz ojciec Józef Osiecki – w Polsce po wojnie było mało szkół. Nasza ciocia, Stanisława Osiecka po I wojnie światowej przez rok pracowała w gimnazjum w Lipnie, następnie rozpoczęła studia na Uniwersytecie Warszawskim na Wydziale Matematycznym, a potem przeniosła się na Wydział Polonistyczny. Do dzisiaj posiadam jej legitymację studencką oraz paszport wydany przez władze rosyjskie. Po ukończeniu studiów została skierowana do Wołkowyska jako nauczycielka języka polskiego. Jak wspominała – w Wołkowysku w tym czasie chodniki były z desek. Jeżeli się oderwały gwoździe a był deszcz i błoto, to efekt nie trudno sobie wyobrazić...

W latach 1930–31 Stanisława Osiecka została przeniesiona do Łomży, jako nauczycielka języka polskiego w Męskim Seminarium Nauczycielskim przy ulicy Stacha Konwy. W roku 1930 zabrała z Lipna rodziców, tj. Franciszka i Marię Osiecką oraz mnie. Dziadkowie wychowywali mnie w Lipnie (gdzie ukończyłam pierwszą klasę szkoły podstawowej) od śmier-

ci mojej matki Doroty; miałam wtedy półtora roku. W Łomży rozpoczęłam naukę w Szkole Ćwiczeń od klasy drugiej, zakończywszy ją w klasie szóstej. W tym czasie przybyła do Łomży siostra, 4-letnia wówczas Jadwiga.

Pamiętam zabudowę kompleksu seminarium nauczycielskiego. Od strony parku, w pierwszym dwupiętrowym budynku mieściło się mieszkanie dyrektora oraz pracownie rysunków, robót i biologii. Szczególnie zapamiętałam pracownię biologiczną ze względu na to, iż znajdował się tam „kościotrup”, który nas bardzo przerażał. W budynku tym zajęcia mieli też uczniowie seminarium nauczycielskiego – seminarzyści. My, jako klasy „ćwiczeniówki”, korzystałyśmy w tym budynku z odpowiednich pracowni. Na prawo była brama wjazdowa z murowanym łukiem. Obok niej znajdował się dwupiętrowy budynek mieszkalny dla nauczycieli. Tuż za nim łącznik – nieduży parterowy budynek, gdzie znajdowały się szatnie, a okresowo także dożywianie (mleko, kakao, pieczywo). Dalej na prawo był jednopiętrowy budynek szkolny. Vis-a-vis budynku mieszkalnego znajdowało się wejście do szkoły.

Budynek szkolny przedzielony był przez środek korytarzem, po którego bokach mieściły się sale lekcyjne. Mniej więcej pośrodku szkoły znajdował się hol, w którym zimą podczas przerwy chodziliśmy parami wokół. Natomiast latem wychodziliśmy na podwórze. Na pierwszym piętrze, naprzeciw klatki schodowej, znajdował się gabinet dentystyczny, pokój nauczycielski oraz sekretariat, gdzie pracowała pani Kamila Majewska, która miała syna Edwarda.

str. 8 ➔

Szkolnictwo...

Naprzeciw budynku szkolnego znajdował się plac wysypany piaskiem, a tuż za nim parterowa sala gimnastyczna. Wejście do niej zlokalizowane było od strony szpitalika – małego parterowego budynku, w którym znajdowała się opiekunka, sale oraz izolatka dla chorych seminarzystów i uczniów. Do sali gimnastycznej wchodziło się po kilku schodkach. W budynku tym, na prawo znajdowało się mieszkanie pracownicze, a na lewo – wejścia do dwóch szatni: dla dziewcząt i chłopców, z których wchodziło się bezpośrednio do sali gimnastycznej. Z tyłu budynku znajdowało się drugie wejście do korytarza, a po bokach dwa pokoiki służące jako garderoby dla uczniów biorących udział w przedstawieniach i występach szkolnych.

Za salą gimnastyczną znajdowało się duże boisko do gry w koszykówkę oraz w piłkę nożną. W końcowej części boiska urządzono skocznię.

Kompleks seminaryjny oddzielony był płotem od bursy „mierniczówki”. Wzdłuż niego rosły krzaki oraz duże drzewa, na które wchodziłam przeszło sześćdziesiąt – siedemdziesiąt lat temu. Za boiskiem sportowym znajdował się ogród rekreacyjny z trawnikami, klombami, ścieżkami oraz ławkami. Za nim – ogród warzywno-owocowy, który uprawiały siostry zakonne, prowadzące jednocześnie internat, kuchnię i hodowlę świń. Na lewo był kort tenisowy, a dalej stawy Markowskiego, które zamarzając zimą zamieniały się w tor tyżwowy dla młodzieży szkolnej oraz dzieci z miasta. Kort tenisowy sąsiadował z ogrodem dyrektorskim.

Naprzeciw bramy wjazdowej znajdował się dwupiętrowy budynek, w którym mieścił się internat dla uczniów Gimnazjum Męskiego T. Kościuszki oraz seminarzystów. W jego szczycie – kuchnia oraz stołówka, naprzeciw chlewnia, a między nimi – wejście do ogrodu

dyrektorskiego. Za chlewniami było WC dla personelu nauczycielskiego, a potem rozciągało się wybrukowane podwórze i budynek gospodarczy z koniem, bryczką, moze i krowami. Na jego dachu umieszczona była przybudówka, z zapasem siana. Między budynkiem gospodarczym a kortem znajdowały się drzewa morwowe, z żółtawymi owocami o słodkim smaku. Między boiskiem a drogą wiodącą do podwórza stał budynek z czterema wejściami – była to ubikacja dla uczniów. Kilka lat przed wojną skanalizowano ulicę Stacha Konwy i w szkole zainstalowano ubikację oraz doprowadzono wodę do budynków mieszkalnych.

Posiadam zdjęcia budynku mieszkalnego obejmującego część, w której zamieszkiwałyśmy wraz z cicią oraz część, w której zamieszkiwali państwo Józińscy. Za nim widać łącznik, szkołę ćwiczeń oraz dwa budynki bursy szkoły miernicznej, znajdującej się przy ul. Legionów. Mam również zdjęcie sali gimnastycznej wykonane podczas szkolnej choinki w 1931 r. Zdjęcie oprócz choinki przedstawia aniołki

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA WYDZIAŁ MATEMATYKI FIZYKI CHEMII



PROF. DR. H. BARTOŚ

PROF. DR. J. BARTOŚ



PROF. DR. J. BARTOŚ

PROF. DR. J. BARTOŚ



Z-PROF. W. BORDOWSKI



ADJ. DR. E. BITTNER



Z-PROF. A. B. M. SINGIER



Z-PROF. A. B. M. SINGIER



Z-PROF. A. B. M. SINGIER



DOC. DR. A. KULIK



ADJ. PROF. W. SADOWSKI



Z-PROF. A. B. M. SINGIER



Z-PROF. A. B. M. SINGIER



Z-PROF. A. B. M. SINGIER



Z-PROF. A. B. M. SINGIER



Z-PROF. A. B. M. SINGIER



A. BARTOŚ



B. BARTOŚ



C. BARTOŚ



D. BARTOŚ



E. BARTOŚ



F. BARTOŚ



G. BARTOŚ



H. BARTOŚ



I. BARTOŚ



J. BARTOŚ



K. BARTOŚ



L. BARTOŚ



M. BARTOŚ



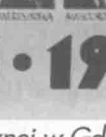
N. BARTOŚ



O. BARTOŚ



P. BARTOŚ



Q. BARTOŚ



R. BARTOŚ

GDAŃSK 1955-1960

Prof. Stanisława Osiecka tuż po dyplomie w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku (w ramce)

oraz uczniów ćwiczeniówki. Na środku sali była mokra plama – niestety któryś z maluchów zsiusiał się. „Zsiusiał, bo musiał”.

Mam także dwa zdjęcia grona nauczycielskiego wraz z seminarzystami. Pierwsze – na tle drzwi wejściowych do szkoły. W środku dyrektor Małek, kierownik „ćwiczeniówki” pan Kochański, profesor Osiecka, pan Józiński, potem pan Fedyszyn, który był po wojnie dyrektorem Liceum Pedagogicznego. Jeżeli chodzi o losy profesorów, to pan Kochański przeniesiony został do Ostrołęki. Miał dwie córki „Dziubę” i „Dzidkę” oraz dwie pasierbice: Janinę Saniewską, która potem przyjeżdżała na zjazdy łomżyńiaków oraz starszą Halinę, która miała dwójkę bliźniaków – chłopców, których odwiedziłam wraz z moją babcią, gdy zamieszkaliśmy w jednym budynku w Łomży. Niestety, chłopcy ci razem się urodzili i razem potem zginęli w Ostrołęce od wybuchu niewypału.

Państwo Józińscy przenieśli się w 1939 roku do Białegostoku, ponieważ pan Józiński mianowany został inspektorem szkolnym. Podczas okupacji sowieckiej pani Józińska wraz z córką Irką i synem Jurkiem wywiezieni zostali do Kazachstanu, gdzie pani Józińska zginęła tragicznie rozszarpana przez byka. Natomiast Irka i Jurek wraz z wojskiem gen. Andersa dostali się do Anglii. Jak mówiła ich bratanica – prawdopodobnie wrócili do Polski. Ponieważ pan Józiński był oficerem, podzielił los reszty polskich oficerów, zatrzymanych przez Sowieców. Natomiast symboliczny grób pana Kochańskiego znajduje się na cmentarzu łomżyńskim. Pan Fedyszyn mieszkał jakiś czas naprzeciw naszego mieszkania. Gdy był chory, babcia w moim towarzystwie zanosila mu posiłki. Był to wspaniały, cudowny człowiek, święty pedagog, nauczyciel z powołania, oddany młodzieży, opiekuńczy. Zdjęcie grona pedagogicz-

nego było wykonane w 1931 r. przez Rembranta, przedwojennego fotografa.

Drugie zdjęcie przedstawia grono pedagogiczne wraz z seminarzystami na szkolnym boisku. Znajdują się na nim pan Kłos – profesor od śpiewu, pan Józiński, pani Osiecka i ksiądz Kłoskowski. Profesor Osiecka podczas pracy w seminarium otrzymała doktorat z filozofii u prof. Kotarbińskiego.

Ponadto posiadam zdjęcie naszej klasy, gdzie seminarzyści prowadzili zajęcia z języka polskiego. Znajdują się na nim uczniowie naszej klasy, seminarzyści, profesor Osiecka oraz wychowawczynie, pani Piotrowska.

Ostatnim dyrektorem seminarium męskiego był profesor Laskowski. Mieszkał wraz z żoną i córką Krystyną, którym – niestety – spłatała figla i musiałam później za to przepraszać.

str. 10



ze str. 7

Nowogrodzka...

Naprzeciwno, w drewnianym (znowu ciemno-żółtym, widocznie taka była moda), sympatycznym domu z ganeczkiem obrosniętym dzikim winem mieszkali państwo Kolińscy. Lutek Koliński był bardzo przez nas wszystkie lubiany. Przez wiele lat był naszym świętym kolegą, a nawet w pewnym sensie opiekunem. Jako nieco starszy i mający mir na ulicy, interweniował w różnych formach, gdy sprawiedliwość tego wymagała. Jego siostra Ceńka była naszą koleżanką i uczestniczką zabaw.

Obok domu Kolińskich był miły, biały dom pani Suskiej, z ganeczkiem od ulicy. Tu przysiadły kobiety spod Łomży, idące na bosaka z butami w węzełkach, by obuć się przed wejściem do miasta i odpocząć. Zza płotu obok wyglądał sad wiśniowy, cudownie pachnący w deszczu. W głębi sadu niewielki drewniany dom, z prowadzącą do niego alejką. Tu kończył się wąski chodniczek, czyli atrybut miejscowości Nowogrodzkiej. Dalej były udeptane ścieżki pod płotami – wzdłuż pola babci Lipińskiej, naszego ogrodu i ogrodu pani Tymińskiej.

Posesja pani Tymińskiej zawsze pięknie zadbaną, z wydzielonym niewielkim ogrodem ozdobnym. W jej ładnym domu mieściła się przez jakiś czas szkoła krajecka. Na piętrze mieszkały właścicielki, panie Tuszowska i Tymińska z synem Zbyszkiem, naszym kolegą. Obok pani Świąćicka z synem Januszem. Pani

Stasia Świąćicka, wielka przyjaciółka mamy, bardzo przeze mnie kochana. Znajomość z nią została zawarta w okolicznościach przykrych, spowodowanych przez Janusza, ogromnego wtedy urwipolcia. Otóż Janusz wybił szybę w naszym domu, a mama postanowiła dochodzić sprawy u rodziców. I tak zawiązała się dożgonna przyjaźń, również moja z Januszem. Był to niespokojny duch, zawsze pełen pomysłów i skłonności do różnych psot, lub postępów w dobrej wierze, zwykle jednak powodujących większe lub mniejsze kłopoty. Dosyć reprezentatywnym zdarzeniem które pamiętam, było ćwiczenie zręcznościowe: wspinał się na transformator przy „Waciarni” i zawisł na spodniach na samym szczycie. Ludzie, którzy się zbiegli, nie wiedzieli jak go ratować. Nie pamiętam, jak został uwolniony, ale nie spadł. Liczne eskapady tego typu zapisane bliźniami, przyprawiły jego drobną, spokojną matkę o śmiertelny stres. Często próbował mnie włączyć do swoich poczynań, ale widać byłam oporna, bo nie pamiętam żadnych kłopotów.

Za polem babci Lipińskiej, po lewej stronie od miasta, stał dom pań Dziarskich, bezpośrednio sąsiadujący z naszym, noszącym wtedy numer 21. Za nim ciągnął się duży ogród, za mojej pamięci zaniedbany, odgrodzony od ulicy drewnianym płotem. Za granicą ogrodu były łąki, na których zwykle stała woda, tworząc stawek. Było to miłe miejsce spacerów i zabaw, rosły wierzby i mnóstwo polnych kwiatów. Idąc tamtędy, dochodziło się do ulicy Obwodowej, zwanej Obwodówką. W zimie stawek spełniał rolę lokalnej ślizgawki.

str. 10





ze str. 9

Szkolnictwo...

Na dwa lata przed wojną stopniowo zaczęto przekształcać seminarium nauczycielskie w seminarium nauczycielskie żeńskie, ale czy to na pewno było seminarium czy liceum – dokładnie nie wiem, ponieważ byłam już w szkole średniej i nie miałam kontaktu z nimi. Dyrektorką była pani Rutkowska, która korzystała z mieszkania dyrektorskiego. Zamieszkiwała tam z kuzynką w moim wieku, więc kontaktowałyśmy się i byłam w ich mieszkaniu. W pałacu Chodźki prawdopodobnie znajdowało się Seminarium Nauczycielskie Żeńskie im. Narczyży Żmichowskiej. W mojej pamięci wyżej wymieniony pałac kojarzy mi się z internatem dla uczennic Gimnazjum im. Marii Konopnickiej, na rogu placu Kościuszki i ulicy Zjazd.

Prof. Stanisława Osiecka w latach 1935–39 uczyła języka polskiego w gimnazjum i liceum żeńskim w klasach „a” z językiem francuskim, natomiast klasy „b” uczyły się języka niemieckiego. Przed samą wojną prof. Osiecka uczyła klasy maturalne w Gimnazjum Męskim im. T. Kościuszki przy ul. Bernatowicza. W roku 1939 wymówiono mieszkania nauczycielom, jak i pozostałemu personelowi nie zatrudnionemu w Liceum Pedagogicznym Żeńskim. My zamieszkaliśmy na rogu ulicy Krótkiej i Długiej w kamienicy doktora Czameckiego.

1 września 1939 roku Niemcy hitlerowskie napadły na Polskę, większość mieszkańców Łodzi została zgodnie z miejscem zatrudnienia ewakuowana wago-

nami towarowymi. Dojechaliśmy razem do Siedlec, gdzie część wagonów skierowano do Janowa Podlaskiego. Nad pozostałe wagony w Siedlcach nadleciały samoloty niemieckie i zbombardowały stojący skład pociągu. Część ludności zginęła lub została ranna, dyrektor Gimnazjum Żeńskiego Celestyna Orlikowska, mimo kontuzji, została przetransportowana do Warszawy. My powróciliśmy do swojego dawnego mieszkania, tak samo jak część personelu seminarium.

W latach 1939–41 władze radzieckie otworzyły tzw. „dziesięciolatkę” – od klasy pierwszej do maturalnej. Uczyli w niej dawni nauczyciele gimnazjum języka białoruskiego i rosyjskiego, uczyli nauczyciele ZSRR. W internacie „mierniczówki” utworzono popołudniową i wieczorową dziesięciolatkę, której dyrektorem był prof. Siemaszko. Uczyli się w niej „rozbitkowie” z gimnazjum kupieckiego i ze szkoły mierniczej z al. Legionów. Oba te kompleksy rozdzielat płot oraz wspaniałe, wielkie stare drzewa.

Wraz z nami zamieszkiwał prokurator radziecki z żoną i nowo narodzonym synkiem. Uczestniczył on w rozprawach konspiracyjnej młodzieży, m.in. Urszuli Mioduszewskiej, Hanki Wójcickiej, Karola Pawłowskiego i innych. Myśmy solidaryzowali się z nimi, biegając pod okna sali sądowej przy ul. Stacha Konwy 13.

W nocy z 21 na 22 czerwca 1941 roku Niemcy napadły na Związek Radziecki. Nad miastem latały samoloty, dookoła słychać było odgłos rozrywających się pocisków oraz wybuchy bomb. Prokurator twierdził, że są to jedynie manewry, ale czym prędzej udał się na ulicę Polową do siedziby



ze str. 9

Nowogrodzka...

Po przeciwnej stronie Nowogrodzkiej były zabudowania zwane „Waciarnią” (nigdy nie zainteresowałam się, dlaczego), ale mieszkały tam nasze dobre koleżanki, Dżidka i Hanka Rokickie. Dżidka była ogromnie popularna i była wspianą towarzyszką różnych zdarzeń. Pamiętam ją jako koleżankę z obozu harcerskiego w Porąbce. Nigdy też nie „zadzierała nosa”, choć wszystkie uważałyśmy ją za najładniejszą dziewczynę ulicy Nowogrodzkiej. Miała zdecydowane zacięcie aktorskie. Uczestniczyłyśmy w zabawach w teatr, które organizowała. Znacznie później, będąc w gimnazjum, występowała w szkolnych przedstawieniach. Doskonale pamiętam jej kreację jako pani Sonnenbrück w „Niemcach”. Piękna dziewczyna nie wahała się przeistoczyć w bardzo starszą panią, a z niełatwej roli wywiązała się tak, że do dziś ją pamiętam.



1957 rok, u Kolińskich. Jurek Piaszczyński, Hanka Wystouch, Stefan Mikulik, Ceńka Kolińska, Alka Barbachowska, Marysia Kondratowicz, Wieska Rządziejewicz, Janusz Marczyk

Za „Waciarnią” były już zabudowania typowo podmiejskie, a ja jako rzadko tam trafiałam. Oczywiście dalej ulica przechodziła w drogę do Nowogrodu.

Nowogrodzka 21 (teraz 29). Nasz dom. Wybudowany dla mojej babci, Marii Rudowskiej z Ostrowskich. Tu wychowywała się moja mama i jej siostra, Janina i Walentyna Rudowskie. Tu w Łodzi wyszły za mąż, zmieniając nazwiska na Wystouchowa i Ramotowska. Tu mieszkała moja mama, gdy podjęła pierwszą po studiach pracę w Gimnazjum Żeńskim im. Marii Konopnickiej. Ciocia Wala z rodziną i babcia Rudowska mieszkały w tym domu aż do przedwczesnej, wojennej śmierci. Ten dom był celem naszej wędrówki repatriacyjnej do Ojczyzny. Mama, mój brat Wiktor i ja mieszkaliśmy tu do czasu wyruszenia w inne, dalekie strony. Dom pełen wspomnień i duchów przeszłości.

Trochę cofnięty od ulicy; początkowo skrawek ogródka z przodu

NKWD. Na miejscu okazało się, że budynek został zbombardowany. Prokurator wrócił do domu po żonę i dziecko i zbiegł w stronę Białegostoku. Siostra Jadwiga dowiedziała się, że prokurator podczas ucieczki zginął.

Władze szkolne radzieckie zorganizowały kurs dla nauczycieli podczas wakacji 1940 r. M.in. osobiście brałam w nim udział. Jako anegdotkę mogę dodać, iż pewnego razu podczas zajęć zostałam wywołana przez nauczyciela radzieckiego do odpowiedzi. Zamiast mnie ciocia Osiecka zerwała się z ławki i odpowiedziała na zadane pytania na ocenę dobrą. Nauczyciel zorientowawszy się, że jest druga Osiecka, zapytał także mnie – odpowiedziałam na ocenę dostateczną, która powędrowała na konto ciocia Osieckiej.

Po wkroczeniu Niemców nadal korzystaliśmy ze swego mieszkania. W Łomży zaczęto organizować tajne nauczanie. Pewnego razu do naszego mieszkania wszedł Niemiec i zobaczywszy, że ciocia siedzi nad książkami szkolnymi powiedział, że sam też jest nauczycielem, nie wy-

ciągnął żadnych konsekwencji i wyszedł. W tym okresie zamieszkiwał z nami ostatni dyrektor Gimnazjum Męskiego im. T. Kościuszki, Chmiel. Następnie Niemcy kazali opuścić wszystkie mieszkania zlokalizowane w kompleksie pedagogicznym oraz w bursie „mierniczówki”. Utworzyli tam hotel dla Niemców.

Podczas ofensywy wojsk radzieckich na Łomżę i okolice poszliśmy do wujostwa Kokoszczyńskich na Skowronki i ukrywaliśmy się na Pulwach. Niemcy podpalili cały kompleks seminarium oraz bursę „mierniczówki”. Widzieliśmy, jak płonęły nasze budynki, tak jak Nerón oglądał swój płonący Rzym, z tym że on go celowo podpałił. Na okres około pół roku front zatrzymał się na linii Narwi. W Piątnicy stacjonowały wojska niemieckie, a w Łomży – radzieckie. Z ciocią zostaliśmy ewakuowani do kuzynów Kokoszczyńskich we wsi Pstrągi pod Zambrowem, natomiast dziadkowie z siostrą Jadwigą byli po stronie niemieckiej – początkowo u państwa Wszeborowskich w Nagórkach, a następnie ewakuowano ich dalej. W Pstrągach kopaliśmy kar-

tofle, żeby zarobić na utrzymanie.

Jesienią 1944 roku w Białymstoku powstało Kuratorium Szkolne. Polecono odnaleźć profesor Osiecką, by zorganizowała Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące w Zambrowie. Wtedy wraz z ciocią przeniosłyśmy się do Zambrowa. Mieszkałyśmy w małym pokoju. Z tego czasu pamiętam pewien przykry incydent, który doprowadził mnie do łez: gdy na pościeli znalazłam... wesz odzieżową.

Ciocia, jako pracownik kuratorium, ja jako sekretarka oraz pracownicy administracji otrzymywałyśmy posiłki, tzn. zupę i chleb. W tym czasie rozpoczęłam pierwszą pracę pedagogiczną – uczyłam córkę gospodarzy czytać i pisać, za co otrzymywałam codziennie litr mleka.

Przy ul. Białostockiej przydzielono drewniany budynek na potrzeby szkoły. Na górcie była facjatka, od frontu zamieszkiwała gospodyni, a myśmy miały z boku jeden pokój mieszkalny. Mieszkała z nami pani Chętnikowa wraz z córką – bibliotekarka z Łomży. Jej mąż był

str. 12 ➔



1956 rok, Nowogrodzka; Marysia Kondratowicz, Janina Wysłouch, Marysia Gałzkwówna

był ogrodzony niziutkim, drewnianym, ozdobnym płotkiem. Z czasem płotek gdzieś znikł i był po prostu kawałek nie pielęgnowanej trawy. Dom składał się z dwóch części o różnej wysokości. Ta asymetria stwarzała sympatyczną formę architektoniczną, wyeksponowaną złożonym kształtem spadzistego dachu z czerwonej dachówki. Był pomalowany na biało. Z frontu rząd okien parteru i piętra, okna strychu wyższej części, rząd okienek piwnic na całej długości. Okna miały oszczędne gzymsy, co tworzyło dość estetyczną elewację. Szczyty domu miały okna tylko na piętrze. Od podwórza były też duże okna mieszkalnego przyzie-

mia, balkon na piętrze i uchylne okna w dachu. Po środku ceglane schodki do mieszkań sutereny i piwnic i wysokie, drewniane schody do sieni na parterze. Z podestu schodów wchodziło się do przedsionka, gdzie było wejście do mieszkania państwa Przeradzkich. Po prawej stronie dużej sieni prowadziły drewniane schody na piętro, pod ich biegiem wąskie schodki do piwnicy. Naprzeciwko schodów – drzwi naszego mieszkania. Za zwężeniem (były tam poprzednio drzwi) mieszkali państwo Styłowie i Majewscy. Na piętrze było najbardziej reprezentacyjne w domu mieszkanie Zielińskich i mniej – Wąszewskich. Obok – wąskie drzwi i strome schodki na strych, bardzo rozległy i interesujący, jeszcze z jakimiś przedwojennymi starociami. Było też ogromnie frapujące wyjście na dach, gdzie można było całkiem bezpiecznie i ustronnie spędzić czas na ławeczce za kominem.

Idąc z ulicy, przechodziło się dość szerokim pasażem między szczytem domu a płotem pani Dziarskiej. Na wprost, odsunięte od domu, zabudowania gospodarcze, zwane chlewikami, ciągnące się przez znaczną część szerokości podwórza. Podwórze było obszerne i łączyło się z ogrodem. Najbliżej domu rosła nasza ulubiona jabłotka. Miała dwa pnie – jeden tworzył ławeczkę na właściwej wysokości, drugi rósł prosto. Na dodatek jeden był antonówką, drugi papierówką. Bardzo nas to wtedy zachwyciło. Trochę dalej rosła

str. 12 ➔



ze str. 11

Szkolnictwo...

wojskowym. Na parterze znajdowały się klasy lekcyjne, tj. dwa małe pokoiki oraz dwa większe, po obu stronach korytarza. W jednym z małych pokoi mieszkała Celinka Chwiatkowska. Tam też znajdował się sekretariat.

Jesienią 1944 roku rozpoczęły się lekcje w gimnazjum i liceum. Młodzież garnęła się do nauki – i ta z Zambrowa, jak i ta z okolicznych wsi. Były cztery klasy gimnazjalne i dwie licealne. Druga klasa licealna początkowo miała profil pedagogiczny, ponieważ w czasie wojny zginęło wielu nauczycieli i kadry były bardzo potrzebne. Nie wszystkim się to jednak podobało. Część uczniów z tajnego nauczania o profilu matematyczno-fizycznym, m.in. Tadeusz Mieczkowski i Henryk Grabowski, zbuntowała się i przestała chodzić do klasy pedagogicznej.

Kiedyś w drodze na zajęcia uczniowie zauważyli samotnie lecący samolot niemiecki, który zrzucił bombę. O mały włos nie zginęli. Skończyło się na strachu i obsypaniu ziemią. Profesor Osiecka zeszedł z góry z lampą naftową i uspakajała uczniów.

Potem klasa została podzielona: 14 uczniów w klasie o profilu matematyczno-fizycznym; pozostała trzynastka uczyła się nadal w klasie o profilu pedagogicznym. Niektóre lekcje były łączone. Przedmiotów pedagogicznych uczył nas Eugeniusz Kraszewski, a dydaktyki – Franciszek Wasążnik.

W styczniu 1945 r. nastąpiła ofensywa wojsk radzieckich i Niemcy zostali wyparci z Piątnicy i pognani aż do Berlina. W związku z tym w lutym przerwano naukę w Zambrowie i przenieśliśmy się wraz z innymi mieszkańcami łomży z powrotem do naszego miasta. Początkowo zamieszkałyśmy z ciotką przy ul. Dwornej, u pani pielęgniarki Suryn. Na siedzibę Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego przydzielony został stylowy pałac Chodźki. Był to dwupiętrowy budynek z przygórkami mieszkalnymi na górze, z dachem pokrytym blachą. Jednakże brakowało szyb w oknach oraz drzwi, dlatego też wkrótce rozpoczęto remont budynku. Całkowicie brakowało wyposażenia szkoły. Mieszkańcy łomży oraz okolicznych wsi przywozili co mogli: kilkanaście ławek szkolnych, stoliki, szafki oraz deski i pnie drzew, z których robiono ławy dla uczniów. Poza tym, kto mógł przywoził opał w postaci drzewa, torfu, gałęzi, a do internatu różne produkty żywnościowe. Wraz z Celinką Chwiatkowską przyjmowałam dostarczone dobra. Po wyremontowaniu szkoły uczniowie zapisywali się do klas na podstawie posiadanych świadectw lub – gdy świadectw brakowało – młodzież poddawana była egzaminom sprawdzającym. Podczas jednego z takich egzaminów, gdy jeden z uczniów nie radził sobie z rozbiorem gramatycznym zdania, profesor Osiecka zapytała go, skąd przybywa. Uczeń przyznał, iż wrócił z Kazachstanu. Na to profesor zaliczyła mu egzamin i przyjęła do szkoły.

W pierwszych dniach marca zostało otwarte Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące. Rozpoczęto naukę



ze str. 11

Nowogrodzka...

inna, interesująca jabłonka, zwana pepinką. Nigdy potem nie spotkałam takich jabłek, ani podobnego drzewka. Były średnio wysokie, gałęzie opadały do ziemi, jak u wierzby płaczącej. Była to wspaniała kryjówka do gier i zabaw. Jabłka były małe, bardzo intensywnie kolorowe, zielono-czerwone, o białym, soczystym miąższu. Można je było przechowywać, więc zdobiliśmy nimi choinkę. Za płotem ogrodu, wzdłuż między pól, ciągnął się bardzo długi szpaler bzu. Tędy, ścieżką prowadził skrót – ogromnie malowniczy, do ulicy Ostrołęckiej. Dalsza, główna część ogrodu ciągnęła się od wjazdu do domu od strony Nowogrodu, aż prawie do „Waciarni”. Rosty tam wspaniałe jabłka, gruszki i mirabelki. Ogród nie był przez nas uprawiany, a sąsiedzi coś tam sadzili, raczej nie-



1957 rok, przed domem Kolińskich; ja z Lutkiem Kolińskim

udolnie. Stąd większość była nieużytkiem. Nie zdawałam sobie wtedy

sprawy z tego mamotrąstwa, a cieszyła mnie duża łąka w obrębie ogrodu. Na jego skraju rosty ogromne, stare krzaki bzu tureckiego, tworząc dużą, zacienioną altanę. Tuż obok dwie rozróżnione wierzby, z mnóstwem konarów do przesiadywania.

Najbliższym moim kolegą z domu był Witek Majewski. Jego młodsza siostra, Teresa była nieco pomijana w zabawach z powodu wieku. Witek był naszym szkolnym kolegą, bardzo lubianym. Wcześniej „odbił”, bo po szkole podstawowej wyjechał do Szkoły Morskiej. Spotykaliśmy się gdy przyjeżdżał, ogromnie elegancki w mundurze, światowy, z ciekawymi opowieściami z niewyobrażalnie dalekich stron, często z jakimś drobnym rarytasem w formie prezentu.

Całe towarzystwo z Nowogrodzkiej na ogół chodziło do szkoły na Gietczyńską. Naprzeciwko katedra, obok okropne budki, tuż za nimi Rynek Zambrowski z targami bydłocymi. Punkt był w ogóle bardzo ru-

w klasach gimnazjalnych oraz licealnych. Nasza klasa maturalna, która rozpoczęła naukę w Zambrowie, w dalszym ciągu posiadała dwa profile nauczania. Mieliśmy przedwojenne ławki szkolne, w których siedzieli po trzech uczniów. Jednocześnie zorganizowano internat dla chłopców, który prowadziła pani Michalina Serdakowska. Nauczali nas dawni profesorowie z Gimnazjum Męskiego jak i Żeńskiego: Stanisława Osiecka, Jadwiga Dąbrowska, Stanisława Truskolaska, państwo Oświęcimscy, Zygmunt Filipczak, Janina Wystouch, Julia Suryń, Kazimierz Dzieniszewski, Eugeniusz Kraszewski, Franciszek Wasążnik, Zygmunt Maryniak, ksiądz Jan Tyszcza. Wraz z rozwojem szkoły zwiększała się ilość profesorów. Powstały również tzw. klasy semestralne dla uczniów, którzy z powodu wojny byli opóźnieni w nauce. W ciągu roku przerabiali oni dwie klasy, przygotowując się do matury.

Poza tym istniała kilkusobowa grupa bardziej zaawansowanych uczniów tajnego nauczania, którzy przygotowywali się do egzaminu

maturalnego i pokonując drogę na piechotę zdawali go przed komisją egzaminacyjną w Białymstoku. Wśród tych uczniów byli m.in. Jurek Świątkowski, Stanisław Szcześniak, Jadwiga Chudzińska, Lilka Tesmanówna, Rysiek Wróblewski, Wanda Wyrzykowska i inni. Po zdaniu matury uczniowie ci rozjechali się na studia po całej Polsce, przeważnie jednak kontynuowali naukę w Krakowie, Warszawie i Łodzi (sekretarka szkoły, Celinka Chwiatkowska). Czasy te były dość trudne z powodu prześladowań i represji oraz toczących się walk partyzanckich. Niejednokrotnie chłopcy byli aresztowani albo opuszczali szkołę łomżyńską i wyjeżdżali w inny koniec Polski. Pamiętam fakt, gdy do szkoły zgłoszono się po jednego z uczniów. Nasz dzielny woźny Gabriel Wiśniewski powiadomił nauczyciela, który poszukiwanemu uczniowi wstał w dzienniku nieobecność. Natomiast uczeń ten opuścił klasę przez okno, wychodząc na drzewo. Przebywał tam do czasu, aż było pewne, że zakończono go poszukiwać. Następnego dnia już go w szkole nie było.

Kancelarię szkoły początkowo prowadziłam ja, Celinka Chwiatkowska, a później pani Majewska. Lekcje prowadzono na dwie zmiany – poranną i popołudniową. W kuchni zorganizowano stołówkę dla uczniów i personelu.

7–8 lipca klasa nasza zdawała maturę, najpierw z języka polskiego i matematyki, potem egzaminy ustne. Jesienią 1945 r. uczniowie klasy matematycznej i pedagogicznej wyruszyli na studia do Warszawy, Łodzi (która nie była zniszczona) i Krakowa. Z klasy pedagogicznej tylko Hela Karwowska została nauczycielką w Mątwicy, ale wkrótce zmarła.

Ja początkowo rozpoczęłam studia stomatologiczne, a następnie – po zamążpójściu – studiowałam na Wydziale Lekarskim. Po skończeniu studiów rozpoczęłam praktykę w Szpitalu Psychiatrycznym w Kochanówce (mieszkałam po drugiej stronie Łodzi, w kierunku Pabianic). W tym czasie miałam już półtorarocznego syna, a z następnym byłam w ciąży. Wobec powyższego przeniosłam się do Szpitala

str. 14 ➔



1951 rok, na tarasie u Kusiów; Irka Kusiówna, Teresa Grabowska, Wieśka Rzodkiewiczówna, Winia Kusiówna, Hanka Rzodkiewiczówna, Hanka Wystouch.

chliwy jak na łomżę, bo o parę kroków był Stary Rynek, też „centrum handlowe” dóbr wszelakich. W dni targowe otoczenie szkoły kipiało, wrzeszczało, mezczało i turkotało. Sama szkoła, usytuowana na rogu dwóch znaczących ulic, to duży budynek z czerwonej cegły, trzykondygnacyjny. Chyba że najznaczniejsza, została mianowana szkołą TPD i miała na celu wpajanie ideologii materialistycznej. Ale w czasie gdy do niej chodziłam w latach 1945–1947, nie pamię-

tam żadnej indoktrynacji. Za to odbywały się wtedy huczne obchody święta 3 Maja i Bożego Ciała na Dwornej i Giełczyńskiej. Gdy po przerwie wróciłam (można powiedzieć „przywiało mnie”) do niej wraz z ćwiczeniówką, po zerwaniu na niej dachu przez huragan, byliśmy znowu wszyscy razem, aż do gimnazjum.

Potem nasze drogi powoli zaczęły się rozchodzić. Różne szkoły średnie, nowe przyjaźnie, mniej związane z miejscem zamieszkania. Matury, studia, małżeństwa. Spotykaliśmy się w czasie świąt, wakacji. Im dalej w czas, tym spotkania rzadsze; kontakt ustawał, gdy ustawały więzy rodzinne z łomżą. Zostały zjazdy i okazjonalne spotkania, zawsze miłe i serdeczne. Po wielu latach, dzięki energii i uporowi Irki Kusiówny (Mickiewiczowej), te serdeczne, bliskie więzy zostały odbudowane. Bardzo je sobie cenię, emanują serdecznością i przypominają nasze czasy z Nowogrodzkiej.

Tak mniej więcej wyglądała Nowogrodzka mojego dzieciństwa i wczesnej młodości. Teraz bardzo się zmieniła razem z całą łomżą, wypiękniata. Wielu domów nie ma, inne przybyły lub zmieniły postać. Gdy rzadko bywa się w łomży, czasem „trudno się połapać”, co gdzie było. I my zmieniliśmy się, niestety nie na piękniejsze...

Anna Ostrowska





Psychiatrycznego w Choroszczy. Zawsze chciałam studiować na wydziale pedagogicznym, jednakże ciocia nigdy się na to nie zgodziła. Mimo tego przez ponad 15 lat byłam nauczycielką – już podczas studiów, a także podczas pracy. Początkowo uczyłam w Gimnazjum Fotograficznym. Jak się ciotki z łodzi śmiały z przedmiotów... Uczyłam historii, chemii i higieny. Następnie byłam przez półtora roku asystentką na Wydziale Fizjologii Akademii Medycznej w Łodzi. Przez pół roku uczyłam w łodzi w szkole podstawowej.



„Czcigodnej Pani Dyrektor na dowód dozgonnej wdzięczności Mali Maturzyści. Łomża, 15 lipca 1945 r.”

Pracując w pogotowiu, zostałam wezwana do niespokojnego pacjenta. Od dyspozytorki dowiedziałam się, że „w łomży pracują „przyjezdni lekarze”... Ja jej na to: „Nie jestem żadnym przyjezdnym, ale powrot-

nym lekarzem”. Byłam bowiem po drugim powrocie do mojego miasta.

Pracując w przychodni łomżyńskiej uczyłam przez 10 lat w Zespole Szkół Medycznych – w Liceum Medycznym oraz w Studium Pomaturalnym (nazwałam je Sorboną), w przedwojennym szpitalu św. Ducha. Uczyłam tam psychiatrii i neurologii. Ponieważ brakowało książek opracowałam dwie edycje skryptów z psychiatrii i neurologii, tytułując je na podstawie książek profesorów i opracowując pod względem dydaktycznym dla uczniów szkół medycznych. Za drugą edycję zapłaciłam sama, gdyż komitet rodzicielski nie miał pieniędzy. W 1991 r. z powodu braku środków finansowych w szkole, niestety, nie mogłam kontynuować pracy pedagogicznej. Dopiero po roku zdobyłam się na pójście ul. Nadnarwiańską, by popatrzeć na szkołę, w której uczyłam... Obecnie, gdy zobaczę w telewizji nauczyciela otwierającego dziennik, czuję ułtucie w sercu z tęsknoty i z uczuciem żalu, że ja już nie uczę.

Po odbudowaniu przedwojennego budynku Gimnazjum przy ul. Bernatowicza, Gimnazjum i Liceum z pałacu Chodzki zostało tam przeniesione i przywrócono mu imię Tadeusza Kościuszki. Aktualnie liceum to cieszy się wysoką renomą ze względu na wysoki poziom nauczania, absolwentów studiujących w najlepszych szkołach wyższych oraz zajmujących wysokie stanowiska w Polsce i za granicą oraz ze względu na wspaniałą kadrę pedagogiczną, pracującą pod kierunkiem wieloletniego dyrektora Zygmunta Zdanowicza, doskonałego organizatora i koordynatora, wspaniałego pedagoga i wychowawcy, oddanego całkowicie swojej szkole oraz młodzieży.

Jesienią 1945 r. mgr Eugeniusz Kraszewski zorganizował Liceum Pedagogiczne z internatem w kamie-

❑ UWAGA KONKURS ❑ UWAGA KONKURS ❑ UWAGA KONKURS ❑

Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaciół Ziemi łomżyńskiej ogłasza trzecią edycję konkursu na prace magisterskie oraz dyplomowe, poświęcone łomży i regionowi łomżyńskiemu.

Organizatorom zależy na uzyskaniu prac obronionych w latach 2000–2003 oraz do 30 października 2004 roku, na wszystkich typach uczelni wyższych. Nie ograniczamy zakresu tematycznego, jeśli jednak napłynie dużo prac, dokonamy podziału na historyczne i traktujące o współczesności.

Oceny merytorycznej dokona jury powołane przez Zarząd Główny TPZł, pod przewodnictwem prof. Adama Dobrońskiego z Uniwersytetu w Białymstoku.

Autorzy i opiekunowie naukowcy wszystkich nadesłanych prac otrzy-

mają pamiątkowe dyplomy. Autorom najlepszych prac zostaną przyznane nagrody i wyróżnienia.

Termin nadsyłania pod adresem Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaciół Ziemi łomżyńskiej (18-400 Łomża, ul. Polowa 22) upływa

15 listopada 2004 roku, a spotkanie laureatów przewidujemy w grudniu tegoż roku.

Prace nadesłane na konkurs przechodzą na własność TPZł. W przypadku druku całości lub fragmentów oraz wdrożeń praktycznych konieczna będzie zgoda au-

torą i określenie warunków wynikających z ochrony praw autorskich.

Szczegółowe informacje uzyskać można w Oddziale TPZł w Białymstoku (Jan Borawski, tel. 0 606 216 786). Prosimy także o kontakt z naszymi oddziałami.

Już teraz dziękujemy wszystkim naukowcom i studentom, którzy w swoich pracach uwzględniają bogatą przeszłość oraz wielorakie problemy współczesnej Ziemi łomżyńskiej.



❑ UWAGA KONKURS ❑ UWAGA KONKURS ❑ UWAGA KONKURS ❑

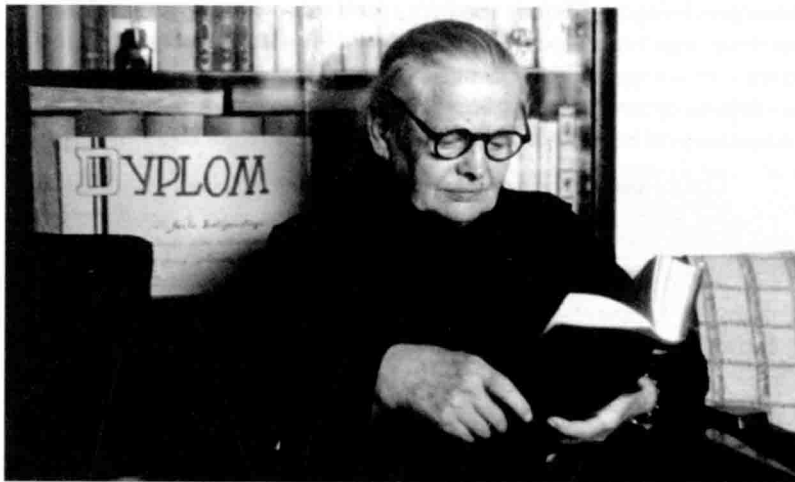
nicy pani Selerowskiej przy ul. Legionów, gdzie obecnie swoją siedzibę mają „Kontakty”. Po odrestaurowaniu budynku Gimnazjum Żeńskiego przy placu Kościuszki, Liceum Pedagogiczne zostało tam przeniesione. Dyrektorem liceum został wspaniały profesor Fedyszyn, były nauczyciel z Męskiego Seminarium Nauczycielskiego przy ul. Stacha Konwy. Był on również kierownikiem szkoły powszechnej nr 6 mieszczącej się na rogu ulicy Giełczyńskiej i Dwornej, naprzeciw Katedry. Za budynkiem Liceum Pedagogicznego znajdował się „Pałac Chodźki”. Używam czasu przeszłego, ponieważ bezmyślnie, bez uwzględnienia pałacu zabytkowego, „jakaś pani architekt” zamieniła ten piękny obiekt w zwykłą „chatupę”, przekształcając dwupiętrowy budynek, w którym mieści się internat.

W latach osiemdziesiątych powróciłam z radością do swojej Łomży. Pracowałam w Wojewódzkiej Przychodni Zdrowia Psychicznego. Jako kierownik otworzyłam Oddział Dziennego Pobytu dla pacjentów z Łomży, jak i z najbliższych okolic. Za Łomżą tęskniłam zawsze, chciałam tu powrócić, przyjeżdżałam na wszystkie Zjazdy Łomżniaków, a gdy nadarzyła się okazja, mimo że byłam ordynatorem w Choroszczy – przenieśliśmy się do Przychodni Zdrowia Psychicznego w Łomży. Mimo że ciocia nie pozwoliła mi, wykorzystałam swoją maturę pedagogiczną i pracowałam jako nauczyciel przez przeszło 15 lat. Przecież psychiatria to jest „pedagogika specjalna”... Nic dziwnego, że ciągnęło mnie do pracy w szkole, gdyż „urodziłam się w szkole”, mieszkałam w szkole, z nauczycielskiego chleba wyrosłam i wy-

kształciłam się dzięki prof. Stanisławie Osieckiej. Po raz trzeci wróciłam do Łomży, a właściwie „uciekłam” ze swego mieszkania w Choroszczy do Łomży, gdzie, niestety – teraz jestem zmuszona wynajmować mieszkanie.

Gdy po raz trzeci zamieszkałam w Łomży, moimi najbliższymi sąsiadami zostali państwo Trembińscy. Pan Tadeusz Trembiński był inspektorem szkolnym. Byliśmy bardzo przyjaźnieni ze sobą. Z tym wspaniałym małżeństwem nauczycielskim dzieliliśmy się radości i smutki, żyliśmy jak rodzina. Często przyjeżdżały córki – Barbara z mężem oraz Maryla. Wspólnie spędzaliśmy czas na rozmowach, wspominając stare czasy. Państwo Trembińscy przenieśli się potem do Gdyni, gdzie mieszkała Barbara. Niestety, pani Trembińska zachorowała, zabrano ją do szpitala, gdzie po niedługim czasie zmarła. Natomiast pan Trembiński żył przeszło 90 lat. Przez wiele lat przysyłał mi życzenia, jak tylko nadarzała się okazja. Po jego śmierci nadal utrzymuję kontakt z jego córkami. Ostatnio otrzymałam kartę napisaną ze smutkiem i żalem za przeszłymi czasami, gdy córki przyjeżdżały do rodziców i wspólnie spędzaliśmy miłe chwile. Pamiętam, gdy pan Trembiński kończył 80 rok życia, to obchodził swój jubileusz z rodziną i gośćmi, między którymi siedziała moja... kotka Kizi. Ja pojechałam wtedy do dzieci mieszkających w Choroszczy...

Lucyna Osiecka-Pakuła



Stanisława Osiecka na emeryturze, na tle dyplomu ukochanego wnuka Janusza Szeligowskiego.

KRONIKA ŁOMŻYŃSKA

EDYTA Górniak – znana polska wokalistka urodziła swoje pierwsze dziecko w łomżyńskim szpitalu. Ojcem małego Alana jest łomżniak, Dariusz Krupa.

WOJEWODA Podlaski zapowiedział prywatyzację w tym roku łomżyńskiego Przedsiębiorstwa Realizacji Inwestycji, w budynku którego przy ul. Polowej 22 siedzibę ma także Towarzystwo Przyjaciół Ziemi łomżyńskiej.

PO RAZ pierwszy Urząd Miejski w Łomży w drodze przetargu wyłonił firmę, która ubezpieczyła cały majątek od kradzieży i innych nieszczęść. Do tej pory ubezpieczano tylko połowę majątku komunalnego.

ZESPÓŁ Szkół Drzewnych w Łomży otrzymał nagrodę Polsko-Niemieckiej Fundacji współpracy Młodzieżowej

STARSI aspirant Zbigniew Gryglik i młodszy aspirant Grzegorz Kurkowski z Piątnicy oraz młodszy aspirant Edward Ostrowski z Nowogrodu otrzymali nagrody starosty Wojciecha Kubraka dla najlepszych dzielnicowych.

POSEŁ Mieczysław Czerniawski został prezesem Krajowej Federacji Sportu dla Wszystkich na kolejną kadencję.

KAMIL Nowiński z klasy IV a Liceum Plastycznego w Łomży zdobył Grand Prix VI Ogólnopolskiego Konkursu na Rysunek Satyryczny poświęcony ochronie środowiska naturalnego.

„PIERWSZE dni wolności” – pod takim hasłem łomżyński Związek Sybiraków ogłosił konkurs na wspomnienia o powrotach ze zsyłki.

PROKURATURA Okręgowa w Łomży wygrała ranking Ministerstwa Sprawiedliwości na najlepszą prokuraturę w kraju, w grupie tzw. prokuratur małych.

Kochać ludzi na kolanach

Z Przewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski, arcybiskupem Józefem Michalikiem rozmawia Wawrzyniec Kłosiński



– *Minęły dwa miesiące posługi na najwyższym urzędzie w kościele polskim, którą teraz ksiądz arcybiskup musi łączyć z pracą w swojej archidiecezji. Na co częściej brakuje czasu: na Przemyśl czy na Warszawę?*

– *Na wszystko musi starczyć. Trzeba umieć go znaleźć, może podzielić i jakoś łączyć. Próbować, żeby Warszawa skorzystała z Przemyśla a Przemyśl żeby skorzystał z Warszawy.*

– *Czy łomża ma szansę skorzystać z Warszawy i z Przemyśla?*

– *Ja w ogóle niosę w życiu wszystko to, co wyniosłem z łomży. Tu jest mój dom rodzinny, tu jest ta ziemia, po której uczyłem się chodzić*

jako chrześcijanin i jako Polak. Myślę, że jest to jakieś szukanie wzorców od dziecka trwające. Wiem, że zawsze mogłoby być lepiej, piękniej, ale skoro jest tak jak jest, to trzeba próbować, żeby w miarę możliwości było w życiu jak najuczciwiej.

– *To dzisiejsze spotkanie w Łomży to także taka podróż sentymentalna...?*

– *Co roku, od wielu już lat spotykamy się w dniu święceń kapłańskich na modlitwę, na refleksję. Tym razem – ponieważ to taka „okrągła” rocznica, więc przyjechaliśmy do Łomży, gdzie byliśmy wyświęceni. Modlimy się za naszych zmarłych biskupów, wychowawców i kolegów. Chcemy spędzić ten dzień wspólnie, bo potrzebne jest to nam, żebyśmy sobie uświadamiali, że nie jesteśmy sami w życiu, że ciągle otrzymujemy od innych ludzi, że potrze-*

bujemy innych. To ważna rzecz, żebyśmy uczyli się tego bycia razem. To trwa całe życie i całe życie można się ubogacać, albo całe życie narzekać, że jest źle.

– *Ale ksiądz arcybiskup – jak widać – nie narzeka...*

– *Nie, ja jestem raczej optymistą. I myślę, że lepiej jest jak się coś promuje dobrego, jak się przede wszystkim sobie samemu wytycza jakieś szlaki i mobilizuje się człowiek sam do wysiłku. Wówczas i inni widzą, że można coś zrobić, że nie wszystko jest takie złe, że są pewne miejsca, w których człowiek może się odnaleźć i jeszcze coś zrobić.*

– *40 lat temu Wyższe Seminarium Duchowne w Łomży opuścił rocznik, z obecnym arcybiskupem Józefem Michalikiem oraz biskupami: Edwardem Samsalem i Antonim Dydyczem. Czy to rzeczywiście był jakiś niepowtarzalny rocznik?*

– *Pan Bóg ma poczucie humoru.*

– *Dziękuję za rozmowę.*

(Polskie Radio Białystok, audycja z dnia 24 maja 2004 r.)

„Cieszę się, że możemy tu przebywać jak za dawnych dobrych czasów, kiedy święcił nas tu, przy tym ołtarzu świętej i świetlanej pamięci biskup Czesław Falkowski. Trzeba, żeby ta Katedra wypiękniała(...). Dla mnie w szczególny sposób przybycie do łomży, do Zambrowa, to powrót do korzeni. Tu rośnie nasze powołanie, to już 46 lat naszego powołania. Tu człowiek uczył się kochać Pana Boga w nowy sposób, odpowiedzialny, kochać ludzi w sposób wymagający, ale i pokorny, kochać ludzi na kolanach, modląc się za nich. Dla mnie ta Katedra, ta droga od seminarium do Katedry, którą tyle razy się przemierzało, to jest kawał duchowej przygody (...).”

KRONIKA ŁOMŻYŃSKA

SZPITAL Wojewódzki w Łomży obdarowany został bateriami, nowoczesnymi ładowarkami i akumulatorami w ramach akcji charytatywnej „Energia dla życia” przez GP Battery i „Ruch”.

ZABY pod ochroną: uczniowie ze szkół w gminach: Łomża, Piątnica i Wizna oraz łomżyńscy harcerze pomagają płazom bezpiecznie przejść przez jezdnię do ich miejsc godowych nad Narwią.

DO budynku Szpitala Wojewódzkiego przeniesiony się z Szosy Zambrowskiej ostatnie już przychodnie specjalistyczne.

ŁÓŻKO do reanimacji wartości 7,5 tys. złotych zakupiła zambrowskiemu szpitalowi zambrowianka mieszkająca w Stanach Zjednoczonych.

W ROCZNICĘ Insurekcji z 1794 r. uczniowie ze Stawisk przemaszzerowali w barwnym korowodzie ulicami miasteczka i zainscenizowali krakowską przysięgę Tadeusza Kościuszki.

W REJONIE byłej stacji kolejowej w Czerwonym Borze nieznani sprawcy skradli... 20 metrów torów. Straty oszacowano na ponad 20 tys. zł.

DWAJ pijani (1,3 prom.) gimnazjaliści ze Szczuczyna, demolujący miejscowy cmentarz, schowali się przed policją w... grobowcu.

W CIECHANOWCU powstało pierwsze w Polsce i drugie w Europie Muzeum Pisanki.

PONAD 8,5 tys. złotych przyniosła kolejna kwesta uliczna na potrzeby Hospicjum p.w. Świętego Ducha w Łomży.

ZAKONCZYŁY się prace remontowe w kaplicy Najświętszego Sakramentu w Katedrze łomżyńskiej, ale remont 500-letniej świątyni nadal trwa. Otrzyma ona m.in. zmodernizowaną nieco kopię dawnego ołtarza głównego.

Kazimierz Burzyński

Ta łza niech nie wraca

Od początku 1942 roku zaczęły dziać się rzeczy, które były następstwem umowy Sikorski – Majski. Zaczęły dochodzić wiadomości o organizującej się w Buzulu, Tatiszczewie i Tockoje, Armii Polskiej. Odnajdowały się rodziny. Na przykład już w styczniu państwo Parczewscy otrzymali wiadomość od syna Stanisława i dzięki jego staraniom 12 lipca opuścili Dżireń – Kupę, i zostali ewakuowani do Iranu.

Podobnie było z rodziną państwa Michalskich. 14 marca przyjechał po nich syn. W mundurze, z orłem na czapce! Dla Polaków w sowchozie było to prawdziwe święto. Każdy chciał zobaczyć polskiego żołnierza, dotknąć jego munduru. 17 marca, podobnie jak później, państwo Parczewscy wyjechali, rozpoczynając drogę ku wolności.

Niestety takich rodzin, które mogły opuścić ZSRR było stosunkowo niewiele i chociaż zazdrość jest paskudną przywarą, to wszyscy pozostający zazdrościli im tej możliwości. To takie ludzkie. Biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się znajdowaliśmy, rozgrzeszam z tej przywary i siebie i innych.

18 lutego otrzymaliśmy po raz pierwszy amerykańską pomoc. Niewiele tego było wobec naszych potrzeb. Na przykład paniom Jelińskim dostała się m.in. kamizelka, pół puszki kakao, trochę herbaty i mleko skondensowane. W tym roku takie dary przywożono jeszcze pięciokrotnie. Ostatni raz 11 października i tym razem panie Jelińskie dostały dwa kilogramy mąki i kawałek mydła.

Już z tego widać, że pomoc była raczej symboliczna, ale świadomość, że są kraje, a w nich ludzie,

k którzy o nas pamiętają, którzy chcą ulżyć naszej doli, znacznie podniosła nas na duchu, chociaż jak zwykle w takich przypadkach byli i niezadowoleni: a dlaczego ten dostał to, a ja to? Dlaczego ten dostał pięć deka smalcu więcej ode mnie? Dlaczego ten dostał skarpetki czarne, a ja białe? I tak dalej.

Oprócz darów rzeczowych rodziny wojskowych (rzadziej inne) otrzymywały od czasu do czasu zapomogi pieniężne, których wysokość oscylowała wokół kwoty 150 rubli, co przy bazarowych cenach było kwotą symboliczną.

Zwykle na przełomie marca i kwietnia dzięki kaczką zacytowały składać jaja. Przemierzałem wtedy step, robiąc nieraz wiele kilometrów, a gdy zbliżałem się do gniazda, kaczka z łopotem skrzydeł zrywała się spod nóg. Czasem jeszcze nic w nim nie było, a czasem znajdowałem kilka lub nawet kilkanaście jaj. Jeżeli w czasie transportu któreś pękło, wypijałem je. Nic nie mogło się zmarnować.

Raz trafiłem w pobliżu rzeki na zagłębienie wypełnione wodą z topniejącego śniegu. Na jego środku zobaczyłem ze zdziwieniem wierzbę. W to miejsce nigdy przedtem nie trafiłem. W rozgałęzieniu znajdowało się gniazdo. Pomyślałem, że skoro jest gniazdo, to muszą być i jajka. Zdjąłem buty, podwinąłem nogawki i wszedłem do wody. Była bardzo zimna, bo wokół zagłębienia leżało jeszcze sporo śniegu. Po paru krokach sięgała mi już do kolan, a do wierzby jeszcze daleko. Wróciłem na brzeg, zdjąłem spodnie i ponowiłem próbę. Zanurzyłem się po piersi, ale i to nie wystarczyło. Wyszedłem jeszcze raz, rozebrałem się „do rosołu” i ostatnie metry do drzewa doплыłem. Na szczęście upór opłacał się. W gnieździe było sporo jajek. Wybrałem je do czapki i zadowolony z siebie, grzebiąc jedną ręką, doплыłem do miejsca, gdzie już miałem grunt pod nogami. Po tej lodowatej kąpieli, na szczęście, nie dostałem nawet kataru. Nie-

str. 18

ŁOMŻYŃSKI oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” przekazał polskim rolnikom z Ukrainy kombajn zbożowy.

GRZYWNĘ w wysokości tysiąca złotych zapłaci mieszkaniec Bożejewa za każdą nielegalnie zabitym kaczkę. Oskarżony został także przez prokuraturę o nielegalne posiadanie broni.

WYŻSZA Szkoła Agrobiznesu w Łomży znalazła się na trzecim miejscu wśród najlepszych niepaństwowych uczelni licencjackich w Polsce w rankingu szkół wyższych „Rzeczpospolitej” i miesięcznika „Perspektywy”.

110 lat świętuje łomżyńska Powszechna Spółdzielnia Spożywców „Spółem”.



W GONIADZU odbył się III Międzynarodowy Festiwal Filmów Przyrodniczych im. Braci Wagów. Zapre-

zentowano 36 filmów z 16 krajów. 15 TEATRÓW z całego kraju spotkało się w Łomży na II Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Młodzieżowych „Tumult 2004”, organizowanym przez Miejski Dom Kultury – Dom Środowisk Twórczych.

MIESZKANCY jednej ze wsi w gminie Stawiski skarżą się na swojego sołtysa, który atakuje bociany kamieniami. Sołtys zaprzecza.

23 ZATRZYMANÝCH łusowników, jeden złodziej drewna, dwaj posiadacze nielegalnej broni, a ponadto prawie 50 sieci rybackich, sznury, ościenie, dwie drewniane łodzie – to efekt pracy strażników rybackich z Łomży, policjantów z Łomży i Grajewa oraz straży leśnej w I kwartale b.r.

2/2004

KOMUNIKAT

Zarządu
Głównego
Towarzystwa
Przyjaciół
Ziem
Łomżyńskiej

stety, takie podbieranie jajek trwało krótko, bo później trafiły się już tylko zalężone i nie nadawały się do spożycia.

Wreszcie, na początku maja przywieźli dawno zapowiedziane *udostwierienija* (zaświadczenia), ale NKWD rozdało je dopiero 14 maja. Jako niepełnoletni zostałem wpisany do zaświadczenia mamy.

Oto jego treść:

ZAŚWIADCZENIE

Pieczątka Robotniczej Wiejskiej Rady
Sowchozu Dżireń-Kupa
NR 199

20.08.1942

Okaziciel niniejszego Burzyńska Stefania córka Feliksa urodzona 1905 roku w Radomiu woj. warszawskie na podstawie Rozporządzenia Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, amnestiowana jako polska obywatelka i ma prawo swobodnego przebywania na terytorium ZSRR za wyjątkiem strefy przygranicznej, stref zakazanych, miejscowości objętych działaniami wojennymi i miast reżimowych pierwszej i drugiej kategorii.

Niżej następują moje dane:

1. Burzyński Kazimierz syn Edwarda ur. 1927

Obywatelka Burzyńska udaje się do wybranego przez siebie miejsca zamieszkania sowchoz Dżireń-Kupa.

Zaświadczenie jest ważne trzy miesiące i podlega wymianie na dowód osobisty.

Naczelnik RO NKWD

podporucznik bezpieczeństwa Isakow

Sekretarz podpis nieczytelny

Odpis zgodny z oryginałem. Sekretarz Kowalow

Przy Armii Polskiej, która znajdowała się już w Uzbekistanie, utworzono organizację młodzieżową „Junacy”. Łącznie z ochotniczkami z Pomocniczej Służby Kobiet tworzyła pokaźną grupę około 4500 młodych ludzi. O tej organizacji dowiedzieliśmy się z pisma otrzymanego z Aktiubińska, w którym zachęcano, aby kilkunastoletni chłopcy zgłaszali swój akces do niej. Rodzice zdecydowali, że mam jechać. Zgłosiło się jeszcze dwóch chłopaków – czternastoletni Kazik Dobosz i osiemnastoletni Janek Pawłowski.

19 sierpnia przyszło wezwanie. Mieliśmy jechać do Aktiubińska, gdzie czekał na nas polski wojskowy. Po zebraniu chętnych z całego obwodu miał nas zawieźć do Jangi Jul. Chcąc dostać się na miejsce zbiórki musieliśmy najpierw dotrzeć do najbliższej stacji kolejowej w Sol-Ilecku i dalej pociągiem. Do Sol-Ilecka było od nas około 50 km przez step i dwie rzeki w bród – Chobdę i Ilek. Komunikacji żadnej. Mogliśmy liczyć albo na jakiś transport z sowchozu, albo na własne nogi. Obiecano nam, że taki transport odjedzie wkrótce i że będziemy mogli się z nim zabrać. Później, że wysyłają samochód do Aktiubińska, więc będziemy mogli bez problemu dojechać na samo miejsce. Minęło kilka dni, a tu ani transportu, ani samochodu. Zdecydowaliśmy, że pójdziemy pieszo. Do Sol-Ilecka miała nas odprowadzić Marylka Jelińska. Taką trasę pokonywało się w jeden dzień. Podobnie było i tym razem. Wyszliśmy rano, a wieczorem byliśmy już w mieście.

Każdy kolchoz i sowchoz (chyba każdy?) miał tam swój dom noclegowy. Za nocleg nic się nie płaciło, a spało się na podłodze. Rano udaliśmy się na stację i tu spotkała nas niemiła niespodzianka. Bilety sprzedawali tylko tym, którzy mieli przepustki, a nas o tym w sowchozie nie uprzedzono. Przed dworcem przy torach – tłumy ludzi. My trzej zostaliśmy ze swoimi tobołkami w tym tłumie, a Marylka poszła gdzieś w nadziei, że uda się te bilety, mimo braku przepustek, załatwić.

KRONIKA ŁOMŻYŃSKA

BUDOWA hali sportowej przy Szkole Podstawowej nr 4 w Zambrowie będzie w tym roku największą inwestycją w mieście – w budżecie przeznaczono na ten cel ponad 4 mln zł.

DO ODWOŁANIA obowiązuje zakaz tranzytowego ruchu pojazdów o masie powyżej 8 ton drogą nr 61 pomiędzy Łomżą i Augustowem.

KILKANAŚCIE imprez, m.in. recital Antoniny Krzysztoń, Diecezjalny Festiwal Piosenki Religijnej i parada orkiestr strażackich na Starym Ryn-



ku, wypełniło program tegorocznych X Dni Kultury Chrześcijańskiej w Łomży.

700 TYSIĘCY złotych poszukuje samorząd gminy Mały Płock na rozbudowę Szkoły Podstawowej w Kątach.

Podczas jej nieobecności zwinęła nas milicja uważając, że jesteśmy *biesprzymyśle* (bezdumni, bez opieki). Takich dzieci w tym czasie rzeczywiście było bardzo dużo. Żyły z kradzieży, rozboju i sprawiały władzom wiele kłopotów. Być może i my wyglądaliśmy na takich – nędznie ubrani, ja na przykład miałem spodnie uszyte z worka, z jakimiś węzełkami – podejrzane typy. Chociaż z drugiej strony myślę, że inni niewiele się od nas różnili.

Zaprowadzili nas na posterunek, kazali wyłożyć wszystko co mamy na stół, obszukali nas. Nie wierzyli, że to co mamy to nasze. Dopytywali skąd to mamy, komu ukradliśmy. Nie wiem jak by się ta sprawa skończyła, gdyby nie Marylka. Kiedy wróciła i nie zastała nas na miejscu, zaczęła wypytywać ludzi co się z nami stało, a dowiedziawszy się, że zabrala nas milicja, przybiegła na posterunek i dopiero jej wyjaśnieniom dali wiarę. Przy okazji sami ukradli mi

zdjęcie mojej mamy. Mama była piękną kobietą, ale to nie tłumaczy ich postępków.

Kiedy wyszliśmy z posterunku Marylka powiedziała, że musimy jechać do Czkatowa do Delegatury Polskiej. Odległość niewielka, około 70 km na północ i nie trzeba przepustek, aby kupić bilety. Wszystkie pociągi były przepelnione, ale jakoś udało nam się wcisnąć i już bez przegód dojechać na miejsce.

W Delegaturze przyjęto nas życzliwie, nakarmiono i wypisano przepustkę do Aktiubińska. Napisało w niej, że Delegatura kieruje nas do miasta Aktiubińsk do dyspozycji Pełnomocnika Przedstawicielstwa Polskiego i prosi o wydanie trzech biletów.

Zachował się jeszcze list pisany przeze mnie do rodziców już w pociągu wiozącym nas z Aktiubińska na południe. Okropne gryzmoły i mnóstwo w nim błędów, ale opis dosyć szczegółowy. Wynika z nie-

go, że Czkatów opuściliśmy dopiero 23 sierpnia w nocy.

W Sol-Ilecku pożegnaliśmy serdecznie Marylkę (wtedy była jeszcze dla nas panną Marylką, miała dwadzieścia lat), podziękowaliśmy jej, poprosiliśmy, aby pozdrowiła naszych rodziców i dalej pojechaliśmy zdani wyłącznie na siebie.

Do Aktiubińska przyjechaliśmy następnego dnia przed wieczorem. W liście piszę, że spotkaliśmy tam przypadkowo Szurkę ze szpitala, która zaprowadziła nas do przedstawicielstwa, dzięki czemu nie musieliśmy dopytywać się o drogę i błąkać się po wielkim dla nas mieście. (Aktiubińsk liczył wtedy znacznie poniżej 100.000 mieszkańców). Kto to była Szurka, nie jestem w stanie sobie przypomnieć.

Przyjęcie w przedstawicielstwie, w przeciwieństwie do tego w Czkatowie, było dla nas zimnym przysnieniem. Jakaś paniusia, nie powiem

str. 20 ➔

Anna Ostrowska

Obrazki nieuporządkowane

Z czasów szkoły podstawowej pamiętam jakieś nieuporządkowane obrazki. Chaos, wrzask, ścisk, tupot... Sympatyczne półkolonie w pałacu biskupim, paczki z UNRRA (wspaniałe!). Pierwsza Komunia w butach przebarbowanych z czarnych na białe. Sympatyczny obóz harcerski w Kozle nad Piszą, gdzie nauczyłam się pływać, poznałam uroki i romantyzm (teraz to widzę) życia obozowego. Potem jeszcze jeden obóz w Porąbce nad Solą, pierwszy raz widziane góry, Sola – bystra, kamienista i płytka, jakże inna od krętej, z pięknie porośniętymi brzegami Narwi.

Mniej więcej w tym czasie stało się jasne, że Ojciec nie wróci. Nic nie dały poszukiwania wszelkimi możliwymi drogami. Zginął gdzieś daleko, w przepastnych przestrzeniach ZSRR i do dziś na pewno nie wiadomo, gdzie. Orzeczenie sądu o uznaniu za zmarłego w 1951 roku, Mama ciężko przeżyła i opłakała. Że Babcia umarła na Syberii, było wiadomo już wcześniej od mieszkańców Łomży, którzy byli wywiezieni razem z nią i dane im było powrócić. Mimo to, życie jakoś się kręciło dalej: raz lepiej, raz gorzej.

Miałam wówczas obowiązki związane z Lubą – naszą krową – repatriantką. Mój brat Orcio, jako siła fachowa, zajmował się zaopatrzeniem jej w prowiant oraz dbał o inne jej potrzeby. Ja wykonywałam zajęcia mniej odpowiedzialne, jak przygotowywanie konkretnych

„dań”, lub wyprowadzanie Luby na spacer do ogrodu. To zajęcie odbywało się według pewnego ceremoniału. Zabieraliśmy z moim przyjacielem psem Matem kilimek, książkę, szliśmy do chlewika po Lubę i szarą gęś – domowniczkę. „Procesją”, wtaczaliśmy się na łąkę. Kiedy znajdowałam się już daleko w świecie fantazji, dobiegało mnie „gę, gę”, lub nawet lekkie dziobnięcie, jeśli nie reagowałam. To gęś dawała sygnał, że Luba zboczyła z trawy i buszuje w kartoflach Styłów. Gdy przez dłuższy czas zajmowała się trawą, na moim kilimku robiło się ciasno, bo oprócz Mata wpychała się na niego również gęś. Nigdy bym nie uwierzyła w inteligencję tego ptaka, gdybym sama jej nie doświadczyła. Chyba rzeczywiście mogły uratować Rzym!

Potem zmiana szkoły na ćwiczeniówkę, huragan, który zerwał z niej dach, powrót po roku (chyba) na Gielczyńską do części wydzielonej na szkołę ćwiczeń z TPD. Były to już lata 1950–1951. Te dwa ostatnie lata podstawówki, czyli klasa szósta i siódma, były dla mnie z paru powodów pamiętne. Poznałyśmy się z Marysią Kondratowiczówną. Była to całkiem dziwna historia. Otóż przechodząc Ogrodową i Ostrołęcką zwróciłam uwagę na dziewczynkę, zawsze pięknie ubraną. Ale intrygowały mnie jej włosy. Zupełnie złote, zaplecione w grube warkocze, tak długie, że na nich siadała. Czasem były spuszczone, czasem zawinięte w ogromną koronę wokół głowy, czasem w zwoje na uszach. Było to tak oryginalne i ładne, że budziło podziw, także mój. I tak widywałyśmy się z daleka przez jakiś czas. A tu, w nowej – starej szkole przy Gielczyńskiej – kogóż ja widzę? Obiekt mojej cichej „adoracji”! Usiadłyśmy razem w ławce. Tak zaczęła się nasza przyjaźń, która trwa do

str. 21 ➔

pani, wyzwala nas od safandutów, ponieważ zgłosiliśmy się za późno. Kapral Ostrouch (tak nazywał się wojskowy, który przyjechał po chłopców) wyjechał przed dwoma dniami do Jangi Jul ze sporą grupką nastolatków.

Pani, kiedy nieco się uspokoiła, powiedziała, że wszystko, co trzeba jest załatwione w NKWD i mamy się tam udać po przepustki. Tam kazano nam przyjść następnego dnia. Chodziliśmy kilka razy i stale mówiono: później i później. W końcu obiecano wydać je jutro rano. Wreszcie 26 dostaliśmy upragniony papierek. Jako cel podróży podano stałe miejsce zamieszkania (!?) Po południu musieliśmy jeszcze przejść *sanoobrotkę*, co w dosłownym tłumaczeniu oznacza obróbkę sanitarną. My to nazywaliśmy odwyszalnią. Dopiero zaświadczenie z punktu dezynfekcyjnego, które otrzymaliśmy na drugi dzień i przepustka, uprawniały do nabycia biletów. W kolejce po nie staliśmy do drugiej w nocy. Wkrótce mieliśmy pociąg Moskwa – Taszkient, ale był tak przepiętny, że musieliśmy stać w wejściu i dopiero rano znaleźliśmy wolne miejsca.

W przedstawicielstwie zaopatrzone nas w chleb i kieszonkowe na drogę, więc nie było tak źle. Po drodze większość pasażerów wysiadła i jechaliśmy w prawie pustym wagonie. Mogliśmy wylegiwać się na ław-

kach, ale ja wolałem oglądać krajobraz przesuwaną się za oknem. Przejeżdżaliśmy przez jakieś dosyć wysokie góry, które bardzo mi się podobały (przed wojną byłem tylko w Górach Świętokrzyskich na obozie harcerskim). Po latach patrząc na mapę, stwierdziłem, że były to Góry Mudżarskie stanowiące południową odnogę Uralu.

Za górami znów step, ale coraz suchszy. Minęliśmy miasto Czelkar, gdzie za 20 rubli kupiliśmy duży arbuz. Przyniósł pewną ochłodę, bo w wagonie mimo pootwieranych okien było bardzo gorąco.

Wczesnym rankiem, chyba to już był 29 sierpnia, minęliśmy Aralsk i jakiś czas jechaliśmy brzegiem jeziora. Pierwszy raz widziałem taki bezmiar wód sięgający aż po horyzont. Od miasta Kazalińsk trasa biegła wzdłuż Syr-Darii, najdłuższej rzeki w Azji Środkowej. Po prawej stronie za rzeką rozciągała się pustynia Kara – Kum, ale i po naszej stronie krajobraz bardziej przypominał pustynię, niż step. Zdziwiła nas duża liczba lśniących w słońcu jeziorek, jednak ktoś z pasażerów wytłumaczył nam, że to lśni nie woda, a sól. Były to tak zwane *solonczaki*.

Dopiero po przejechaniu kilkuset kilometrów oddaliliśmy się od rzeki. Wreszcie pierwszego września dojechaliśmy do Taszkientu, skąd po kilku godzinach oczekiwania mieliśmy pociąg do stacji Kaufmanskaja. Od niej do Jangi-Jul było jeszcze kilka kilometrów.

Przyjechaliśmy wieczorem. Było już całkiem ciemno. Nie spodziewaliśmy się, że to taka duża stacja. Wiele torów, wiele pociągów. Przed dworcem tłumy

KRONIKA ŁOMŻYŃSKA

20 UCZNIÓW z Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza w Kolnie przez ponad tydzień przebywało w Wielkiej Brytanii na intensywnym kursie języka angielskiego.

PONAD 200 mieszkańców gminy Turośl znalazło zatrudnienie przy sadzeniu lasu na terenach zniszczonych w 2002 roku przez huragan. STRONA żydowska od dwóch lat nie odpowiada władzom Zambrowa na propozycję przekazania jej cmentarza żydowskiego.

TYSIĄC ton „serka wiejskiego” wyprodukowała w ciągu miesiąca Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Piątnicy.

PREZYDENT łomży otrzymał skwitowanie Rady Miejskiej za realizację budżetu w minionym roku. Wcześniej pozytywnie na ten temat wypowiedziała się również Regionalna Izba Obrachunkowa.

STRAŻACY ze Śniadowa otrzymali bezpłatnie wóz bojowy od niemieckiej gminy Marklokofen. Podobny trafił także z Niemiec do Wizny, ale tu gmina musiała zapłacić za 25-letnie auto 2,5 tys. euro.

PREZYDENT łomży kupił nowy służbowy samochód. Czarna škoda kosztowała 86 tys. złotych.

STAROSTA łomżyński Wojciech Kubrak i Zakłady Spożywcze „Bona” z łomży, a także wspierające konkurs TPZŁ na najlepsze prace magisterskie o Ziemi łomżyńskiej Przedsiębiorstwo Usługowo-Asenizacyjna ASTWA z Białegostoku – to laureaci tytułu „Mecenas Kultury Województwa Podlaskiego”.

HENRYK Piekarski z Miejskiego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej został nowym przewodniczącym łomżyńskiego Oddziału NSZZ „Solidarność”.

UTRZYMANIE produkcji i zatrudnienia w jednym z ostatnich już w kraju przedsiębiorstw bawełnianych – w zambrowskim „Zamtexie” – to najważniejsze założenia nowego planu ratunkowego, przyjętego przez akcjonariuszy spółki.

EDYTA Bryk – skrzypaczka z łomżyńskiej Orkiestry Kameralnej po raz kolejny koncertowała w 120-osobowym składzie Internationale Junge Orchesterakademie w Niemczech i wraz z tym zespołem nagrała czwartą już płytę.

W DROZDOWIE odbył się II Konkurs Wykonawczy Utworów Witolda Lutosławskiego.

„POLSKA Europie” – koncertem łomżyńskiej Orkiestry Kameralnej pod takim właśnie hasłem łomża uczciła wejście Polski do Unii Europejskiej.

PONAD 150 Żydów z różnych krajów uczciło pamięć rodaków w „Marszu żywych” na cmentarzu w Jedwabnem.

ZALEDWIE 26 na 40 możliwych punktów otrzymał przeciętnie z ogólnokrajowego sprawdzianu wiedzy szóstoklasista z woj. podlaskiego.

RATUSZ ogłosił konkurs na zagospodarowanie 10-hektarowego terenu nad brzegami Narwi, pomiędzy mostami. Inwestycja nie może przekroczyć kwoty 25 mln złotych.

ludzi. Usłyszeliśmy polską mowę. To po polsku rozmawiało kilku Żydów w charakterystycznych czarnych chałatach i okrągłych czapkach z małymi daszkami. Zapytaliśmy, jak możemy trafić do sztabu. Ku naszemu przerażeniu powiedzieli, że nie ma sztabu i nie ma żadnego wojska, że sztab i wojsko są już w pociągu, którym wkrótce odjadą do portu w Krasnowodzku i dalej przez Morze Kaspijskie do Iranu.

Janek Pawłowski został z naszymi tobołkami przy dworcu, a ja z Kazikiem Doboszem ruszyliśmy biegiem szukać eszelonu. Na którymś z torów zobaczyliśmy długi pociąg osobowy, a na peronie grupki wojskowych w battledressach, w jakie umundurowani byli nasi żołnierze. Byliśmy bardzo zgorzeleni, widząc jak niektórzy z nich obejmowali Rosjanki, całowali się z nimi na pożegnanie. Polscy żołnierze z Rosjankami?! To było ponad nasze (ówczesne) wyobrażenia.

Jednak nie było czasu na rozważania ich wysoce nagannego, naszym zdaniem, zachowania. Za-

czepiliśmy pierwszego z brzegu niezaangażowanego w czułe pożegnania i zapoznaliśmy go pokrótce z naszą sytuacją. Powiedział krótko:

– Chłopak! Siadajcie ze mną do wagonu, a jutro zaprowadzę was do kapelana, który załatwi resztę.

Odpowiedzieliśmy, że przy dworcu mamy jeszcze jednego.

– To biegiem po niego – krzyknął – bo zaraz odjeżdżamy.

Rzuciliśmy się przez tory, przebiegaliśmy pod wagonami, albo przez nie, byle prędkiej. Dopadliśmy Janka, złapaliśmy tobołki i nie tłumacząc mu, o co chodzi, ruszyliśmy z powrotem. Kiedy dobiegaliśmy do właściwego peronu, pociąg, wprawdzie powoli, ale już się toczył. Wskoczyliśmy do pierwszego mijającego nas wagonu i tu nastąpiło coś, co zostawiło we mnie głęboką ranę, która skoro nie zagoiła się do dziś, nie zagoi się do końca życia.

Z korytarza wyszedł wojskowy z trzema belkami na naramiennikach i dalej nas rugać po rosyjsku. Zaczęliśmy tłumaczyć po polsku, co my za jedni i co tu robimy, ale

wcale nas nie słuchał. Z jadącego już dosyć szybko pociągu wykopał nas (dosłownie) na peron. Próbowaliśmy jeszcze wskoczyć do któregoś z kolejnych wagonów, ale okazało się, że jadą nimi zwykli podróżni. Akurat trafiliśmy na konduktora. Wyrzucił nas podobnie jak plutonowy. Szans na jeszcze jedną próbę nie mieliśmy. Pociąg jechał zbyt szybko i mijaty nas ostatnie wagony. Staliśmy jakiś czas patrząc za oddalającym się składem. Uczucia, jakie nami owładnęły nie podejmuję się opisać.

Wyszliśmy przed dworzec, a nie wiedząc co począć i gdzie się obrócić, położyliśmy się pod jakimś płotem w pobliżu i tak przespaliśmy do rana. Gdy rozwidniło się na dobre, postanowiliśmy poszukać przynajmniej miejsca, gdzie znajdował się sztab w nadziei, że jeszcze nie wszystko stracone. Droga wiodła między rozciągającymi się po obu stronach sadami. Setki a może tysiące jabłoni, a na nich piękne, dorodne jabłka. Widok jakiegoś od ponad

str. 22 ➔

➔ ze str. 19

Obrazki...



dziś. A życie szkolne i pozaszkolne nabrało całkiem nowych kolorów. Ponieważ zawsze rozumiałyśmy się w pół słowa, te same rzeczy nas zajmowały, te same śmieszły, więc miałyśmy swój mikroświat, dosyć hermetyczny. Oczywiście ciągle musiałyśmy sobie powiedzieć coś niezwykle istotnego, więc nawzajem biegałyśmy do siebie. Zaśmiewałyśmy się do też a to z nauczycieli, a to z książek których pochłaniałyśmy ogromnie dużo, a to z siebie nawzajem. Bardzo niewiele nam było potrzeba do śmiechu, chyba po prostu byłyśmy szczęśliwe.

Drugim ważnym zdarzeniem w tym czasie (chodziłam już do siódmej klasy) było aresztowanie Orcia. Rok

1951 – pora najczarniejszego terroru stalinowskiego. Dochodziły echa o likwidacji „band” czyli ostatnich oddziałów partyzanckich. Aresztowania Akowców (między innymi ojca Marysi). W „kołchoźniku” stale pomstowała na „reakcję” Wanda Odolska i „Fala 49”. Aresztowano Gomutkę i jego współpracowników, trwały procesy przywódców AK. Wszystkie informacje podawane do publicznej wiadomości były tak okraszone propagandą, że tylko było wiadomo, iż coś się zdarzyło. Większość informacji przychodziła „pocztą pantoflową”, mówiło się o nich po cichu, rozglądając się, czy nikt nie podsłuchuje. Nawet w domu ludzie nie czuli się bezpiecznie. Doskonale pamiętam, jak Mama kazała mi wyglądać przez okno, czy nikogo pod nim nie ma, gdy rozmawiały z panią Michaliną Serdakowską. Wszyscy, w każdym razie większość ludzi zaczęła sobie zdawać sprawę, że to, co wydawało się tymczasowe, koszmarnie irracjonalne, staje się faktem. Że trzeba jakoś ułożyć się z tą nienormalną rzeczywistością lub udawać, że się z nią ułożyło.

Orek, urodzony i do dziś zatwardziały aktywista, właśnie kończył liceum. Bardzo zaangażowany w ZMP, aktywnie i z wiarą „budował nową Polskę”. Ze swoją ideowością zawędrował do zarządu koła szkolnego. Trzeba trafu, że wśród aktywistów powstały niesnaski, zakończone donosem do UB. A lochy UB były pojemne, więc mój brat, młodociany wywrotowiec – reakcjonista, wylądował w nich razem z innymi aktywistami. Po-

str. 23 ➔

➔ ze str. 21

Ta ła...

roku nie oglądaliśmy. Ponieważ w naszych torbach (ja miałem uszytą z lnianej ścierki) po chlebie zostało na dnie tylko trochę odruchów, wypełniliśmy je, ile się dało, jabłkami. Chyba sądów nikt nie pilnował, bo uczyniliśmy to bez żadnych przeszkód, a najedliśmy się przy tym do syta. Trafic było stosunkowo łatwo, ponieważ właśnie wtedy poruszały się w obu kierunkach tłumy ludzi.

Na miejscu ujrzeliśmy jakieś budynki, baraki i sowieckich żołnierzy z bagnetami na karabinach pilnujących terenu i wzbraniających wejścia. Wśród tłumów otaczających to miejsce widać było gdzieś niedaleko polskie żołnierzy, a wszyscy podnieceni, zdenerwowani, przerażeni tym, co się stało. Rejwach niesamowity. Dominował język polski.

Uznaliśmy, że tu nie mamy co liczyć na jakąkolwiek pomoc, czy choćby radę i wróciliśmy na stację. Zastanawialiśmy się co dalej robić. Padła propozycja, aby gonić pociąg z naszym wojskiem, ale doszliśmy do wniosku, że to zbyt ryzykowne. A nuż trafimy na takich jak ten plutonowy, który wyrzucił nas z wagonu? Przecież bylibyśmy jeszcze dalej od domu. Postanowiliśmy wracać.

Mieliśmy jeszcze trochę pieniędzy, więc moglibyśmy kupić bilety,

ale znów potrzebne były przepustki, tym razem do Sol-Ilecka. W pobliżu dworca znajdował się domek, właściwie budka, w której NKWD czy milicja wydawało takie pozwolenia na przejazd. Wokół budki znów kłębiący się tłum. Na jakichś świstkach napisaliśmy podania do naczelnika. Z tymi podaniami dopchaliśmy się z trudem do okienka, gdzie zainkasowano od nas po pięć rubli i od ręki wydano stosowne dokumenty. Szczęśliwi, że tak szybko udało zatłatwić się sprawę, zostaliśmy niemal wyniesieni przez ciżbę. Ręce nam opadły, kiedy przeczytaliśmy treść przepustek. Okazało się, że mamy pozwolenie na przejazd od stacji Kaufmańska do stacji Bucharu, kilkaset kilometrów na południowy zachód od Taszkentu. Tego dnia wszystkim wydawali przepustki do Bucharu niezależnie od tego gdzie kto chciał jechać. Tego się nie da zrozumieć. Przez Bucharę wiodła droga naszego wojska do Krasnowodzka, ale dla nas to już nie miało znaczenia.

Zrezygnowani powlekliśmy się na dworzec. Nie ma wyjścia, musimy wracać na gapę. Łatwo powiedzieć „wracać na gapę”, kiedy przed nami do pokonania około 1700 km.

Wśród ludzkiego kłębówiska kręciły się kobiety sprzedające produkty swojego wyrobu. Ponieważ głód dawał się nam solidnie we znaki, postanowiliśmy kupić po *liepioszkie* (placuszku). Wszystkie dokumenty i pieniądze trzymałem ja i ja zwykle zatłatwiałem wszelkie formalności,

ponieważ okazałem się najbardziej rzutkim chłopakiem z naszej trójki. Podeszliśmy do handlarki, poprosiliśmy o trzy *liepioszki*, a ja wyciągnąłem z kieszeni zwitek z rublami, z którego chciałem odliczyć należności. Niespodziewanie mignęła mi przed nosem jakaś drobna ręka i wyszarpnęła część banknotów. Obejrzałem się za uciekającym i w tej samej chwili druga ręka wyrwała mi resztę. Rzuciłem się w tym kierunku, ale natychmiast zostałem otoczony przez kilkunastu wyrostków w różnym wieku. Z groźnymi minami zaczęli dopypywać się czy coś mi zginęło. Nie mieliśmy żadnych szans. Zaraz na początku incydentu handlarka odwróciła się i wmieszała w tłum. Ona nic nie widziała. Tak było dla niej bezpieczniej. Zostaliśmy więc bez jedzenia i bez pieniędzy.

Miało się już ku wieczorowi. Kręciliśmy się wśród pociągów chcąc wypatrzeć taki, który będzie jechał w naszym kierunku – na północ. W składzie jednego z nich znajdowały się lory, a na nich kobiety z dziećmi i skromnym dobytkiem. Wdaliśmy się z nimi w rozmowę. Okazało się, że udało im się uciec przed zbliżającym się frontem, a teraz przewożą je do Czimkientu. Jadą na północ, a więc w naszym kierunku, ale na stacji Arys, około 100 km za Taszkentem nasze drogi się rozejdą. One pojedą na wschód, a my na północny zachód. Najważniejsze, że pozwoliły abyśmy się z nimi zabrali.

str. 24 ➔

KRONIKA ŁOMŻYŃSKA

JADWIGA DREWNOWSKA z Wysokiego Mazowieckiego i Tomasz Gietek z Łomży zostały członkami Zarządu Krajowego Związku Rolników, Kótek i Organizacji Rolniczych.

BIBLIOTEKA I Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki otrzymała imię wieloletniej zasłużonej dyrektorki tej placówki, dr. Stanisławy Osieckiej. Szkoła rozpoczęła obchody 390. rocznicy powstania.

KILKUNASTU zaledwie działaczy lewicy spotkało się na Rynku Starego Miasta na obchodach 1-majowego święta. W niebo poszybowało tylko 50 gołębi; w poprzednich latach było ich kilka tysięcy.



ODPRAWA pocztów sztandarowych, kwiaty w miejscach pamięci narodowej oraz Msza św. w intencji Ojczyzny – to główne punkty tegorocznych obchodów święta Konstytucji 3 Maja

stawiono im zarzut „działalności wywrotowej”. Pretekstem były echa literatury romantycznej i projektowane koło „Tomków”, którego patronem miał być Tomasz Zan. O projekcie i kółku wszyscy dawno zapomnieli, ale każdy pretekst był wystarczający. Tak więc pewnego dnia a raczej głębokiej nocy, energicznie zastukano do drzwi naszego mieszkania. Kilku cywilnych UB-owców przeprowadziło rewizję. Jediną istotą bezkompromisową, wyraźnie artykułującą swój stosunek do tych facetów był Mat, który szalał, szczekał, warczał i prawie nie mogliśmy go utrzymać. Nawiasem, Matu wstręt do nawet cy-



wilnie ubranych ubeków pozostał na całe jego psie życie. Orek został osadzony w „białym domu” a my, szczególnie Mama, byłyśmy przerażone. Nazajutrz okazało się, że została aresztowana „grupa”, a więc i gorzej i lżej.

Zaczęły się mozolne zabiegi o wyjaśnienie, znalezienie „dojść”, wyblaganie. W grupie rodziców aresztowanych były prawie same matki, wdowy. Jedyнным ojcem był pan Mocarski. Mimo intensywnych zabiegów chłopcy spędzili w UB około miesiąca. O „luksusach” pobytu (30-tu więźniów w 20-metrowym pomieszczeniu na gołym klepisku), lęku przed nocnymi przesłuchaniami, biciu, – nie mnie mówić. W końcu, po poręczeniu rodziców i szkoły, towarzystwo wróciło do domów i do nauki. Zdaje się, że w szkole poza koniecznością nadrobienia materiału, nie spotkały ich dotkliwsze sankcje. Mamę kosztowało to zdarzenie parę lat życia. Wprowadziła różne obostrzenia w wyjściach mojego brata, co się zowie latawca. Ale on tak to zwykle „wymotał”, że po prostu stał i tak nie było go w domu, a co gorsza, nie wracał o umówionej porze. Mama szalała z niepokoju. Ale do dziś nie zrozumiałam, czemu wysyłała mnie, trzynastolatkę, na poszukiwanie go u bliżej niesprecyzowanych kolegów w środku nocy? Te poszukiwania (latarnie w Łomży w owym czasie były ewenementem), po starych, cuchnących bramach, koślawych schodach... Wracałam mokra ze strachu, czasem z Orciem, czasem bez.

Matura się odbyła, mój brat zdał ją znakomicie, lecz tu zaczęły się schody. Byli aresztanci zostali wyposażeni

przez „władzę” w „wilcze bilety”. Była to instytucja piętnowania osobnika, który z jakichś względów był niewygodny. I mimo dobrych ocen, znakomicie zdanych egzaminów, nie dostał się na wymarzoną medycynę. I pewnie skończyłby szkołę felczerską, jak Zenek Mocarski, gdyby nie Charon, który wyśnił się cioci Marysia. Ciocia Marysia była siostrą cioci Nusi Wystouchowej. Po więzieniu na Pawiaku – bardzo schorowana, więc choć młoda – przykuta do łóżka. Mieszkała u stryjostwa na Rakowieckiej i choć unieruchomiona, była duszą spotkań, zawsze wiedziała co się dzieje, bardzo ciekawie umiała mówić. Ponieważ cała rodzina martwiła się studiami Orka, więc myślała o tym i ciocia Marysia. Po jakimś czasie oznajmiła, że przyśnił się jej mąż jakiejś dalszej znajomej i że musi go koniecznie zobaczyć, bo ten człowiek pomoże Orciowi dostać się na studia. Oczywiście reakcja stryjostwa była kpiąco-niedowierząca, a i sama ciocia mówiła, że nie wie, skąd to mocne przekonanie. Dla świętego spokoju facet został „dostarczony” cioci. Tak pojawił się w życiu Orka i w pewnym sensie reszty rodziny Charon, przewany tak przez ciocię na pamiątkę mitycznego przewodnika dusz do Hadesu. Był to człowiek o którym niewiele było wiadomo, a przypuszczano, że może funkcjonariusz UB. Zarządził całkowite podporządkowanie Orka swoim zaleceniom, między innymi nakazał mu zatrudnić się jako robotnik fizyczny na budowie. W ankiecie personalnej musiało być napisane, że jest robotnikiem. Nie bez znaczenia miała być opinia z miejsca pracy. Więc pracował na budowie a poza tym miał czekać. „Charon” zastrzegł, że nie gwarantuje miejsca studiów ani kierunku, ale na pewno go wciśnie. Po jakimś czasie wciśnię do Lublina na weterynarię. Był już grudzień, a więc prawie koniec semestru – nie miał więc łatwo, ale poradził sobie i to całkiem dobrze. Tak w wyniku splotu wypadków, sytuacji politycznej i możliwości „Charona” został weterynarzem. Najdziwniejsze w tej historii (poza snem cioci Marysia) było to, że „Charon” nie żądał pieniędzy, co wydawać by się mogło oczywiste. Chciał tylko zwrotu niewygórowanych kosztów, jak przejazdy, nocleg, obiad. W dowód wdzięczności podarowała mu Mama jedną z niewielu pozostałości przedwojennych – aparat fotograficzny Kodak.

W międzyczasie zostałam absolwentką szkoły podstawowej, a następnie zdałam egzamin do liceum. I nie zdawałam sobie wtedy sprawy, że za progiem stoją najpiękniejsze chwile mego życia.

Gimnazjum i Liceum im. Tadeusza Kościuszki przy ul. Bernatowicza: szkoła i jej otoczenie zrobiły na absolwentce podstawówki z Giełczyńskiej ogromne wrażenie. Po okropnych, obskurnych pomieszczeniach, klatkach schodowych, koszmarnej ubikacjach w podwórzu, wrzasku, ścisiku – przestrzeń, estetyka wnętrza i otoczenia, cisza i ład. Szkoła po zniszczeniach wojennych była systematycznie odbudowywana, więc w roku 1951 była nieczynna tylko piękna aula i paradne. Jasne, obszerne klasy, szerokie korytarze, pracownie, biblioteka, szatnie, łazienki. To dopiero luksus! Również otoczenie było bardzo przyjemne – ogromny dziedziniec

Od Arysu korzystaliśmy z wielu pociągów: towarowych, cystern, osobowych. Byliśmy wielokrotnie przeganiani, obrzucani kamieniami, obdzielani kopniakami, ale uparcie posuwaliśmy się naprzód.

Wiele kilometrów zrobiliśmy pieszo, bo nie wiedzieliśmy, czy ze stacji, na której nam przyszło wysiąść, nie odchodzą tory w lewo lub w prawo. W takim przypadku moglibyśmy pojechać w niezamierzonym kierunku. Nie wiedzieliśmy, że między Arysem, a Czkałowem nie ma żadnego odgałęzienia. Wychodziliśmy więc ze stacji i szliśmy wzdłuż torów do najbliższego rozjazdu, po polsku mijanki. Zajmowało nam to nieraz kilka godzin, bo odległość pierwszej mijanki od stacji wynosiła co najmniej kilkanaście kilometrów. Na takiej mijance czekaliśmy na najbliższy pociąg, obojętnie jaki. Nieraz skakaliśmy w biegu, jeżeli nie zatrzymywał się, a tylko zwalniał.

Na pewnym etapie, kiedy zbliżaliśmy się do Kyzyl-Ordy, jechaliśmy siedząc na półce biegnącej wzdłuż cysterny, po której poruszali się robotnicy. Z nami jechało kilku rosyjskich chłopaków – *biesprizornych*. Nasze torby z jabłkami leżały obok nas. Moja była w dalszym ciągu pełna, bo mimo głodu nie ruszyłem ani jednego. Mama uwielbiała jabłka, więc postanowiłem, że wszystkie jej dowiozę. Miasto było już widać całkiem blisko. Tory biegły dużym łukiem w lewo. Pociąg znacznie zwolnił. W tym momencie znów zdarzyło się coś, co nas całkowicie zaskoczyło. Rosjanie błyskawicznie zrzucili nasze torby i sami zeskoczyli z cysterny. Któryś z nich krzyknął jeszcze, jakby na usprawiedliwienie, że w Kyzyl – Ordzie jest wielu głodnych chłopaków.

Na którymś z kolejnych odcinków jechaliśmy na stopniach wagonu pociągu osobowego. Na stopniach sąsiedniego wagonu, ze względu na upał panujący we wnętrzu, jechało kilku szeregowych sowieckich żołnierzy. Zajadali arbuzy i melony. Nam ślinka ciekła na ten widok, a oni pewnie dostrzegli w naszych oczach pożądliwość, bo któryś z nich spytał:

– Czto rebiata, gołodnyje? (co chłopcy, jesteście głodni?)

Kiwaliśmy głowami. Zawołali nas i obdarowali kilkoma dorodnymi owocami. W ciągu kilku minut znalazły się w naszych pustych żołądkach. Wraz z częściowym zaspokojeniem głodu przyszła refleksja. Tam polski żołnierz wyrzuca nas z jadącego pociągu, a tu sowiecki wyciąga rękę, dzieląc się tym co ma. Kompletnie przewartościowanie pojęć. Słowa „braterstwo, przyjaciel, wróg” nabierają zupełnie innego znaczenia. Załamuje się wiara w to, co uważało się za święte. Chaos w głowie, chaos w sercu.

Na którejś stacyjce, kiedy też osobowy pociąg ruszał, przeskoczyliśmy płotek oddzielający teren kolejowy i wskoczyliśmy do pulmana. Staliśmy w wejściu. Pociąg już pędził, kiedy z korytarza wyszedł sowiecki major. Odniosł się do nas całkiem przyjaźnie. Wypytał o okoliczności, które skłoniły nas do takiego sposobu podróżowania, o cel podróży, a jednocześnie ostrzegł, że w razie kontroli na pewno zostaniemy wyrzuceni. Dodał z nutką dumy w głosie, że w 1940 roku był w Warszawie i że Warszawa bardzo mu się podobała. Wyszedł, ale za chwilę wrócił prowadząc młodą kobietę w mundurze konduktora. Powiedział jej kim jesteśmy i poprosił, aby się nami zaopiekowała. Pokazała nam swój służbowy przedział, pierwszy na lewo od wejścia do korytarza. Tam mieliśmy się schronić, gdyby pojawiła się kontrola. Opuścili nas, ale major znów wrócił niosąc bochenek chleba.

– Jedzcie na zdrowie – powiedział – pewnie jesteście głodni.

Znów wracają wspomnienia z Jangi-Jul, znów jawi się obraz plutonowego, znów nasuwają się porównania i znów mętlik w głowie...

Mimo takiej protekcji, tuż pod Aralskiem kilkuosobowa kontrola zaskoczyła nas. Wchodzili z dwóch stron, uniemożliwiając ucieczkę. W ten sposób wyłapywali *biesprizornych* uchylających się od służby wojskowej i dezertersów, którzy podobno też się trafiali. Kiedy przyjechaliśmy na stację, było całkiem ciemno. Zaprowadzili nas do budynku, w którym

str. 26 ➔

KRONIKA ŁOMŻYŃSKA

KARCZMA kurpiowska Przemysław Poleszuka rozpoczęła swój kolejny sezon na Rynku Starego Miasta w Łomży.

W ŁOMŻY przebywali policjanci z Czech, Słowacji, Litwy, Łotwy i Estonii. Rozmawiano m.in. o możliwościach współpracy w ramach Międzynarodowego Stowarzyszenia Policji (IPA).

„PROSTATA – męska sprawa” – akcję bezpłatnych badań mężczyzn po 50. roku życia przeprowadzili łomżyńscy urodzcy pod kierownictwem ordynatora, dr. Telesfora Saracyna. Przebadali prawie 250 mężczyzn.

W MIEJSKO-Gminnym Ośrodku Kultury w Nowogrodzie uroczyste otwarto salę sportową. Zlokalizowano ją w sali nieistniejącego już kina „Ziemowit”.

WEDŁUG Sanepidu żadne targowisko w Łomży i pow. łomżyńskim nie spełnia warunków do handlu artykułami spożywczymi.

NAJSTARSZY w Polsce rycerz św. Floriana mieszka w Wiźnie – Czesław Bagiński ukończył 92 lata i nadal uczestniczy w akcjach gaśniczych.

ŁOMŻYŃSKIE „akcenty” na Jasnej Górze: ks. Krzysztof Jurczak – dyrektor Radia Nadzieja i diecezjalny duszpasterz bankowców poprowadził ponad 4 tys. pracowników polskich banków w 19. pielgrzymce na Jasną Górę. Mszy św. w Kaplicy Cudownego Obrazu przewodniczył biskup Tadeusz Zawistowski, a homilię wygłosił wikariusz biskupi ks. Jan Sołowianiuk.

Obrazki...

obsadzone topolami, róże na rabacie, ogródek doświadczalny, basenik przeciwpożarowy...

Szkola miała opinię ambitnej i wymagającej. Faktem jest, że zespół nauczycielski składał się z bardzo dobrych, przedwojennych nauczycieli. Stąd nowo upieczony gimnazjalista podchodził do szkoły z szacunkiem i poniekąd nabożeństwem. Pociągą były koleżanki z podstawówki, a przede wszystkim Marysia Kondratowiczówna, zwana wtedy przez nas Mańcią. Ale tu od początku zaczęła się rozpacz – Marysia chciała chodzić do klasy z językiem niemieckim, ja też. A Mama nie chciała nawet o tym słyszeć, uparla się na klasę łacińską i ani rusz, bo wiedziała lepiej (i pewnie tak było).



A więc musiałam rozstać się z moją kochaną Mańcią. Bardzo to przeżywałyśmy, ale przerwy były nasze! W jej klasie była też Marysia Gatązkówna, zwana Gęsią. Po krótkim czasie byłyśmy już nierozłączne we trzy. Z nikim, nigdzie i nigdy nie czułam się tak wspaniale, jak wtedy z nimi. To była fantastyczna przyjaźń. Zawsze, w każdej wolnej chwili byłyśmy razem, w szkole i po szkole. Zawsze miałyśmy coś ciekawego do zrobienia lub omówienia. Nasze ulubione zabawy nazwałabym dziś „literackimi”. Polegały na czymś w rodzaju wcielania się w postaci z

powieści, głównie historycznych, lekkiem parodiowaniu, dodawaniu nowej akcji lub całkowitym jej przekreśleniu. Wszystko zaczęło się od „Starej baśni”, która choć lektura, była dla nas zbyt dziecinna. Potem chyba „Puszcza”, no i ukochana przez nas Trylogia, którą fragmentami znałyśmy na pamięć. O ile pamiętam, Mickiewicz też nie był oszczędzany, ballady były bardzo malownicze, a „Pan Tadeusz” dawał wielostronne możliwości. Większość wolnego czasu spędzałyśmy w parku, w lesie, na łączących nasze domy łąkach, w naszym ogrodzie na wierzbie, często u obu Maryś, które miały normalne mieszkania. Lubiliśmy też przebywać w ogrodzie Gęsi na wspaniałych wiśniach lub innych smakotkach serwowanych szczerze przez panią Gatązkową.

Obie Marysie były wspaniałymi sportsmenkami, ja – fajtlapa. Z zacięciem im kibicowałam w wyczynach lekkoatletycznych, a one samorzutnie i bez wnoszenia się swoją sprawnością mnie „podciągały”. Choć tego nie potrzebowały, chodziły ze mną na zajęcia popołudniowe organizowane przez „Werka”, czyli pana Werczyńskiego. No i zrobiły ze mnie może nie orta, ale już mniejszą niezdarę. Wspaniale jeździły na łyżwach i nartach. Wyczyniałyśmy cuda, by wtłoczyć moje nogi w mniejsze buty łyżwiarские któreś z nich. Innym pamiętnym dla mnie sposobem spędzania czasu były wyprawy w trójkę na jednym damskim rowerze. A odbywało się to tak, że jedna z Maryś stała na pedałach pedałując, druga utrzymywała równowagę wehikulu balansując na siodełku, a ja, najmniej sprawna fizycznie, siedziałam na bagażniku. Rowerem zwykle wybierałyśmy się na dalsze wyprawy, najczęściej do Lasu Jednaczewskiego. To były cudowne, beztroskie czasy! Wspaniałe, mądre, radosne dziewczyny, i za to je kochałam wtedy i Kocham teraz. Nigdy nie zdarzyło się nam pokłócić ani obrazić na siebie.

Nauka w nowej szkole dzięki pozytywnemu nastawieniu przebiegała dobrze. Bezapelacyjnym liderem w ocenach była Marysia Kondratowiczówna, stale okupująca pierwsze miejsce na tzw. „tablicy przodowni-

ków”, tylko czasem dzieląc je ze Stefanem Mikulikiem z klasy o rok wyżej. Ale i mnie dość często zdarzało się tam „wisieć”, aczkolwiek nie na tak eksponowanym miejscu. Po pierwszym roku nauki Marysia zdecydowała przejść do klasy łacińskiej, czyli mojej. Byłyśmy więc znowu razem, a Gęś została w klasie niemieckiej. W dalszym ciągu przebywałyśmy razem, ale jakoś powoli zaczęły się nasze kontakty rozluźniać. Serdeczne i bliskie przetrwały jeszcze pierwsze lata studiów. Potem – kamień w wodę. Zagubiliśmy gdzieś w wirze życia naszą kochaną Gęś.

W dziewiątej klasie zaczęła się zarysowywać nasza „paczka”. Były to: Elka i Baśka Żywickie, Mańcia i ja, Alka Barbachowska i Czeška Truszkowska. A naszą wychowawczynią, ku mojej rozpacz, została Mama, czyli Janina Wystouch. No i się zaczęło. Wszelkie niepopularne sprawy jak „czyny”, dyżury, kary za ekscesy klasowe, spadały w pierwszym rzędzie na mnie, potem na Mańcę, następnie na dziewczyny z paczki. Rozumiałam to (o mój Boże, ile kiedyś człowiek musiał rozumieć!), ale byłam zbuntowana. Natomiast jako nauczycielka i wychowawczyni – Mama była wspaniała. Doskonale potrafiła utrzymać dyscyplinę, bez widocznych o to zabiegów. Po prostu miała niekwestionowany autorytet. Wspaniale też prowadziła lekcje, a wykłady były wręcz pasjonująco ciekawe. Wtedy też doszła do programu naszych parodii jeszcze jedna. Zdawałyśmy sobie sprawę, że to nie bardzo w porządku, że przedmiotem naszych drwin jest... nauka historii. Nie nauczycielka, nie fakty, ale durny, ogłupiający sposób przekazu skonstruowany jak „Fala 49”, by zamącić w głowach. Tłumaczony z rosyjskiego podręcznik niestawnej pamięci Gatkina i Jefimowa, to był istny bełkot. Mógł być pierwowzorem dla najbardziej szmatławej literatury brukowej, gdyż w znacznej części podawał plotki i pomówienia oraz pikantne szczegóły dotyczące postaci historycznych. I to był symptom tamtych czasów, który odczuliśmy na własnej skórze, płacąc „niedouctwem” historycznym. Bardziej odważni nauczyciele, jak pani

Ta ła...

mieściło się NKWD. Na piętrze na korytarzu aż gęsto od takich jak my. Ci, których przyprowadzili wcześniej w większości spali na podłodze pod ścianami. My też ułożyliśmy się, gdzie kto mógł. Ja znalazłem wolne miejsce pod jakimś stolikiem. Przy wejściu stał uzbrojony strażnik, a mrok korytarza rozświetlał nędzny blask upstrzonej przez muchy, stabiutkię żarówki. Tak dotrwaliśmy do rana.

Dopiero koło południa zaczęli wzywać zatrzymanych pojedynczo przed oblicze jakiegoś naczelnika. Niektórych wypuszczali, innych wyprowadzali pod strażą.

Było całkiem późno, kiedy przyszła kolej na nas. Na wezwanie wszedłem do niemal pustego pokoju, który wydawał mi się ogromny. Przy przeciwległej ścianie stało równie wielkie biurko, za którym siedział rozparty Kazach w mundurze *enkawudzisty*. Popatrzył na mnie spode łba i groźnym głosem ni to w formie stwierdzenia, ni w formie pytania wykrzyknął:

– *Bużinskij?!?*

Odpowiedziałam, że tak.

– *Ty samyj bolszoj żulik, job twoju mat!* (jesteś największym łobuzem, ...twoja mać) – wydarł się na mnie. Wymyślał mi jeszcze jakiś czas, w końcu oddając *udostowierinije*, które mi przy zatrzymaniu zabrano, rozkazał:

– W ciągu 24 godzin zameldować się w Aralsku i podjąć pracę, albo wynosić się stąd!

Podobnie zostali potraktowani moi koledzy. Wyszliśmy na ulicę i staliśmy jakiś czas zastanawiając się, w którą stronę się udać, gdzie można by przenocować. W tym czasie wypuścili następnego zatrzymanego Rosjanina. Poznaliśmy go na korytarzu, czekając na wezwanie do naczelnika. Zaproponował, abyśmy poszli na dworzec, gdzie będzie łatwiej znaleźć miejsce na nocleg. Po drodze natknęliśmy się na jakiegoś kolejarza, który niósł kilka bochenków chleba. Nasz nowy kolega zaczępił go:

– *Diadia! Proday chleba* (Wujku! Sprzedaj chleba).

Odpowiedział, że nie sprzedaje, ale może na coś wymienić. „Nasz” Rosjanin zapytał, czy może być koszula. Zdziwiliśmy się, bo nic w rękach nie miał. Kiedy kolejarz przystał na propozycję, chłopak zdjął marynarkę i ściągnął koszulkę z grzbietu, a marynarkę włożył na gołe ciało. Dostał za to dwa bochenki chleba. Poszliśmy dalej.

Przed dworcem na placu stała trybuna wykorzystywana pewnie w czasie bolszewickich uroczystości. Od dotu była na wysokości około metra obita deskami, ale z jednej strony brakowało kilku, więc przez otwór wślizgnęliśmy się pod podłogę. Wspaniałe miejsce na nocleg, ale jeszcze wspanialsze było to, że nasz towarzysz rozdzielił chleb sprawiedliwie, każdemu po równo, tak jakbyśmy wnieśli jakiś wkład w jego zdobycie. Niesamowite! Jak solidarny może być człowiek! Jak prawdziwie ludzki! Do dziś na to wspomnienie odczuwam wielki szacunek dla niego i wielką wdzięczność.

O świcie poszliśmy jeszcze do portu, aby popatrzeć z bliska na to olbrzymie jezioro nazywane po rosyjsku *Aralskim Moriem*. Wtedy jeszcze jego powierzchnia wynosiła ponad 66 tys. km². Zasilane było głównie wodami dwóch wielkich rzek Amu-Darii i Syr-Darii. Stalinska polityka przeobrażania przyrody sprawiła, że z powierzchni Uzbekistanu, Turkiestanu i południowej części Kazachstanu znikły wszelkie uprawy. Zastąpiono je monokulturą bawełny. Do sztucznego nawadniania korzystano w sposób rabunkowy z wód obu dopływów. Doprowadziło to do tego, że od lat 70. Syr-Daria nie dociera do jeziora ginąc w piaskach pustyni, a Amu – Daria dociera tylko okresowo. Jezioro gwałtownie wysycha i w końcu lat 90. jego powierzchnia skurczyła się do 33 tys. km². Aralsk, podobnie jak leżący na południu Mujnak i inne mniejsze miasta, przestał być portem i ośrodkiem rybołówstwa. Wszystkie leżą teraz na pustyni dziesiątki kilometrów od brzegu.

Tu pożegnaliśmy naszego rosyjskiego przyjaciela. Miał inne plany,

i nie zamierzał, przynajmniej na razie jechać z nami na północ. My zaś udaliśmy się na dworzec z zamiarem złapania jakiegoś pociągu jadącego w odpowiadającym nam kierunku. Wkrótce nadarzyła się taka okazja. Jeszcze kilka razy musieliśmy przesiadać się na różne pociągi, ale już nie doświadczyliśmy takich przygód jak na trasie do Aralska. Jedyne, co nas podnieciło, to widok na którejś stacji kilku chłopaków z naszymi torbami. Poznałem swoją, bo ścierka, z której była uszyta, miała po bokach dwa barwne pasy.

Ostatni etap z Aktubińska do Sol-Ilecka przejechaliśmy niemal w komfortowych warunkach. Konduktorka pozwoliła nam ulokować się w przedziale obok innych pasażerów. Jechaliśmy nocą i dziwiła się, że wymienialiśmy kolejne miasta zanim do nich dotarliśmy: Martuk, Jajsan, Akbułak, i wreszcie Sol-Ileck. Tu poczuliliśmy się jak w domu. Ponieważ jeszcze nie światało, poszliśmy do domu noclegowego naszego sowchozu. Położyliśmy się gdzieś w kącie na podłodze i zaraz zasnęliśmy. Obudził nas krzyk. Nad nami ktoś stał i wymyślał nam po rosyjsku. Poznałem go. To był pan Anielski, deportowany tak jak my, z Łomży.

– Chłopaki, to wy? – wykrzyknął, kiedy odezwałem się do niego po polsku. Okazało się, że przyjechał z transportem zboża do elewatora i też tu nocował, a zobaczywszy kilku brudnych oberwańców, pomyślał że to *biesprizornyje* i dlatego tak nas łątał. Dzięki niemu zjedliśmy jakieś takie śniadanie. Pan Anielski miał wracać z transportem dopiero na drugi czy trzeci dzień, więc nie czekaliśmy na niego, tylko jeszcze z rana ruszyliśmy do Dżireń-Kupy.

Ilek płynie zaledwie kilka kilometrów od Sol-Ilecka. Dotarliśmy do niego bardzo szybko, przebyliśmy bród i znaleźliśmy się wśród *bachczy* ciągnących się kilka kilometrów po obu stronach drogi. *Bachcza*, to po polsku basztan, czyli pole w stepie zasiane arbuzaami i melonami. Wielkie kule owoców widać było z daleka, ale co

Jagoda Dąbrowska, prowadzili wykłady niezależnie od obowiązującego podręcznika. Niestety, nasza nauczycielka nie miała tych przymiotów. Więc wyszukiwałyśmy smakowitsze kąski i cytowały przy odpowiedzi ku wściekłości nauczycielki i ucieście klasy.

Moją uwielbianą nauczycielką była pani Helena Mazur. Była wymagająca, raczej oschła, dowcipna. Moją ambicją było być dobrą z fizyki i astronomii – i byłam. Obie z Marysią lubiłyśmy się kręcić koło niej i pracowni fizycznej, a nawet odwiedzałyśmy ją dosyć często w domu.



Lubiłam też bardzo pana Dzieniszewskiego, zwanego „Kazikiem”. Uczył nas łaciny i logiki. łacina mi się i owszem, podobała – opisy starożytnego Rzymu, obyczajów Rzymian, śpiewne, melodyjne heksametry i inne jamby. Wspaniałe, mądre przysłowia. Z początku byłam bardzo dobra, potem dobra, w końcu dobra – naciągana. Narobiłam sobie „dziur” w materiale i jakoś ku „Kazika” i mojemu rozczarowaniu nie nadrobiłam ich. Za to logika była moim niekwestionowanym królestwem. Uwielbiałam jej zawziętość i ich rozwikływanie. A „Kazik” był ze mnie dumny i ogromnie chwalił mój zmysł logiczny.

Nauczycielką matematyki była pani Maria Wierzbicka, zwana „Rumbą”. Świetnie uczyła, jak przystoi matematycze – konkretna i konsekwentna. Młoda i przystojna kobieta. Miałam z nią dobre układy, bo byłam nienajgorsza, aczkolwiek zdarzały mi się kłopoty z powodu gapiostwa, dla którego bywała bezlitosna. Ale prawdziwą jej sympatią była Marysia, której matematycznym umysłem i wspaniałymi pracami „Rumba” się szeroko zachwycała. Rzeczywiście, była zawsze „korba” z matematyki.

Dyrektorem szkoły był pan Józef Kielczewski. Odnoszę wrażenie, że umiał docenić dobrych nauczycieli (zespół skompletowany jeszcze przez panią Osiecką), a nawet ich chronić swoją mocno partyjną pozycją. Dbał też o szkołę i jej dobry wizerunek, często sprowadzał do szkoły zespoły „Artosu” – były to recytacje, pieśni, fragmenty przedstawień. Wtedy poznałam wiele wielkich sław – śpiewaków, muzyków, aktorów.

Życie towarzyskie oprócz spotkań naszego „trio”, wzbogaciło się i poszerzyło o dziewczyny z paczki, a

także o kolegów z klas męskich. Zaczęłyśmy też bywać na zabawach szkolnych, a nawet na pierwszych prywatkach. Pretekstem do spotkań w większym gronie były różne zajęcia dodatkowe, jak biblioteka, „Artos”, szkolne przedstawienia amatorskie. Poza przyjemnością płynącą z tych imprez, spotykało się chłopców i czasem wracaliśmy paczką, a czasem jakiś džentelmen odprowadzał do domu, bo ciemno i późno. Bywały też wspólne spacerunki w malowniczym i zadbanym parku. I spotkania latem nad Narwią, a zawsze schodziliśmy się przy ruinach żelaznego mostu. Ale Narew była cudna: brzeg wysoki, dobra plaża, wspaniała woda, pięknie zarośnięte brzegi w otoczeniu łąk. I wyspa, gdzie obficie kwitły niezapominajki. Lubiłyśmy też chodzić do lasu wysoką groblą obsadzoną gęsto wierzbami, otoczoną niskimi polami torfowymi, na których wiosną było żółto od kaczerców. Las wysoki, piaszczysty, z sosnami o fantastycznych kształtach. Aromat, nastrój, romantyzm, nadzieje.

Tak nadeszła klasa dziesiąta. Moim najbardziej wytrwałym wielbicielem był Stefan. Miły, inteligentny, pracowity chłopak, do tego przystojny. Bardzo go lubiłam. Nigdy sama nie mogłam pojąć dlaczego tylko lubiłam. Uczynny, zawsze obok, chętny do pomocy. Był w klasie o rok wyższej. Z nim kojarzą mi się moje czasy zetempowskie, bo był szkolnym aktywistą. Otóż Mama doszła do wniosku, że muszę zapisać się do ZMP, żeby dostać się na studia i nie mieć takich przebojów jak Orek. A z Mamą nie było dyskusji, więc po pewnych oporach zapisałam się. Czasem Stefan zabierał mnie na jakieś „zadania” koszmarnie długie i nudne, zapewne dla towarzystwa. Ze Stefanem długo utrzymywałam serdeczne, ciepłe kontakty.

Wkrótce wszyscy chłopcy przestali się liczyć jako potencjalni wielbiciele, bo zakochałam się w Marku. Był niski, krępy i właściwie brzydki. Miał bardzo oryginalny sposób bycia i niezwykłą inteligencję. Był dobrze wychowany i miał głęboko zakorzenione poczucie przyzwoitości. Truizmem byłoby mówić, jaki piękny stał się wtedy świat. Spotkania, z początku przy okazji szkolnych imprez, z czasem prywatki w gronie naszej paczki poszerzonej o sympatie. Potem randki, sprowadzające się do spacerów, niezależnie od pogody. Do dziś pamiętam zamazanie przy pełni księżyca na Obwodówce, jednej z ulubionych tras. No i oczywiście Las Jednaczewski, Ogród Spacerowy, Szosa Zambrowska. Prywatki nabierały intensywności, czasem poszerzały się ich skład. Były to czasy bardzo prymitywnych adapterów o płytach szybkoobrotowych, często zawierające po jednej melodii (ale co to były za melodie!). Niewielu posiadało to cudo techniki, które w sytuacji prywatki musiało być nieustannie obsługiwane. Zwykle więc po pewnym znużeniu obsługą stale psującego się adaptera, przierzucaliśmy się na radio, w którym super-hitem była Orkiestra Cajmera. Niestety, Cajmer bywał nadawany dosyć rzadko, częściej reportaże z walki o plan lub przemówienia pierwszego sekretarza. Ambitni, a do nich należał też Marek, usiłovali „łapać” Radio Luxemburg, ale zwykle ograniczało się to do długiego szukania i trzasków, ze względu na zagłuszenie stacji zachodnich. Liryczne przeżycia nieco

Ta łaza...

kilkaset metrów stały szatały i kręcili się strażnicy. Mimo to udało się nam podkraść tyle arbuzów i melonów, że zaspokoiliśmy i głód, i pragnienie. Śmiało się jedni z drugich, bo byliśmy brudni, zakurzeni, a sok z owoców rozmasał to wszystko i pokrył nasze twarze, ręce i ubrania większymi i drobniejszymi plamami.

Pod wieczór ukazały się w oddali zabudowania sowchozu. To dodało sił naszym zmęczonym całodziennym marszem nogom. Jeszcze przyspieszyliśmy kroku i po przejściu Chobdy rozeszliśmy się każdy do swego domu.

Pierwszą spotkałem mamę.

– Synku kochany! To ty? – zawołała z niedowierzaniem.

– Uściskom, całusom i łzom nie było końca. Podobnie wyglądało powitanie z babcią i ojcem. Zdziwienie moim powrotem było tym większe, że akurat wczoraj otrzymali mój list wysłany z drogi do Jangi-Jul.

Musiałem oczywiście streścić cały przebieg naszej eskapady, a przy okazji dowiedziałem się, że jest już 10 września. W podróży, licząc od wyjścia z Dżireń-Kupy, byliśmy ponad trzy tygodnie. W tym czasie przejechaliśmy i przeszliśmy prawie 4 tys. kilometrów.

Mama pomogła mi zmyć z siebie cały trzytygodniowy brud, spodnie wyrzuciła, bo były tak porwane, że nie nadawały się do prania i reperacji, nakarmiła i położyła spać. Spałem do wieczora, całą noc i cały następny dzień. Dopiero wieczorem ocknąłem się głodny i spragniony, i co tu dużo mówić – szczęśliwy.

W czasie kiedy spałem, mama spotkała się z sąsiadką Wodołazową. Dowiedziawszy się o moim powrocie i przygodach, uklękała wyciągając ręce jak w modlitwie i powiedziała:

– Stefa! Ty go nigdy więcej nie puszczaj. Rosja jest taka wielka i straszna. Przepadłby bez wieści i nigdy byś się nie dowiedziała, co się z nim stało.

We środę 23 września, licząc na pewną poprawę warunków przeniesliśmy się do kolchozu Brusitówka,

leżącego 12 km na południe od Dżireń-Kupy. Jak na tamtejsze warunki był to dosyć bogaty kolchoz. Każda rodzina miała jakąś krowinę, parę owiec, trochę kur, gęsi, a nad rzeką niewielki płachetek ziemi, coś w rodzaju ogródka przydomowego, albo działki. Podobnie jak my, przeprowadziło się wiele rodzin ze wszystkich ferm sowchozu. Jak napisała w swoim kalendarzyku pani Marylka, w centrali zostało tylko 15 polskich rodzin.

Zamieszkaliśmy w małej, dwuizbowej chatupce stojącej zaraz na początku wsi, od strony sowchozu przy drodze do Chobdy. Brusitówka, podobnie jak Dżireń-Kupa, położona jest na lewym brzegu Bolszój Chobdy, ale do rzeki mieliśmy nieco dalej.

Prace, jakie tu wykonywałem niczym nie różniły się od wykonywanych w sowchozie, jednak tu było coś, czego tam człowiek nie uświadczył. Kolchoz miał całkiem spory kawałek ziemi blisko rzeki, na którym uprawiano marchew, buraki, cebulę i inne warzywa. Dostyć dużą powierzchnię zajmowały kartofle. Może wynikało to stąd, że większość mieszkańców Dżireń-Kupy stanowili Kazachowie, tu żyli tylko Rosjanie.

Ogrodem zawiadywał dziadek Mudriczenko, który zarówno przez tubylców jak i przez nas nazywany był Mudrikiem. Był wielkim służbistą i strzegł powierzonej mu kolchozowej własności niezwykle gorliwie. Uważaliśmy, że jest niezbyt przychylnie nastawiony do Polaków, ale przyczyna tkwiła chyba w tym, że każdy z naszych rodaków od najmłodszego do najstarszego tylko czyhał, jak by dało się wyciągnąć coś z ziemi.

Wkrótce po naszej przeprowadzce nadszedł czas wykopków. Kolchozowe władze zorganizowały brygadę złożoną z samych Polaków, a właściwie Polek, bo nas chłopaków było tylko dwóch – Stefan Polak i ja. Ja nigdy nie kopalem ziemniaków, ale wiedziałem, że do tego celu służy motyka. Tu natomiast kopano szpadkami. *Died Mudrik* krążył wśród nas cały czas, jak owczarek. Pracowaliśmy tak kilka dni, wreszcie kiedyś przed końcem pracy *died* gdzieś się podział. Dziewczyny natychmiast zaczęły upychać kartofle gdzie tylko się dało. Upychały i nam. Ja bronilem się jak mogłem, mimo tego nakładły mnie i Stefanowi za

KRONIKA ŁOMŻYŃSKA

DWA kolejne zbiory wierszy – „Serce Europy” i „O miłości” – opublikował Janusz Kulesza z Zambrowa. GRUPA entuzjastów przeszłości zamierza zarejestrować Towarzystwo Przyjaciół Zambrowa. W mieście funkcjonuje już od 20. lat oddział Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej.

SALWĄ armatnią na dziedzińcu Domu Biskupiego, przedstawiciele Bractwa Kurkowego z Warszawy uczcili imienniny biskupa łomżyńskiego Stanisława Stefanika. Z życzeniami przybyło wielu gości z całej diecezji, w tym także delegacja Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej.

SĄD Okręgowy w łomży zaszędził prawie 70 tys. zł z odsetkami dla Barbary W. z łomży, której lekarze odmówili skierowania na badania prenatalne.

SZTANDAR i imię marszałka Józefa Piłsudskiego otrzymał Zespół Szkół Zakładu Doskonalenia Zawodowego w Kolnie.

MIESZKAŃCY Grajewa zwrócili się do władz miasta o zabranie pojemników na różnego rodzaju odpady, ponieważ i tak nie zamierzają segregować odpadów.

UROCZYSTYMI zbiórkami uczcili strażacy dzień św. Floriana w całym regionie. W łomży m.in. wręczono odznaczenia i awanse na wyższe stopnie służbowe.

ze str. 27

Obrazki...

mi przestonity szkołę, uczulając na poezję. Wtedy po raz pierwszy zetknęłam się z Wisławą Szymborską, której młodzieńcze wiersze pamiętam do dziś.



Rodzice Marysi w międzyczasie kupili dom z pięknym ogrodem i przeprowadzili się ze starego mieszkania w kamienicy na Ostrołęckiej. Też był na Ostrołęckiej, dokładnie naprzeciwko naszego, jakieś 200 m w linii prostej. Łączyła je miedza między polami i ciągnący się między nimi szpaler bzu. Od tej pory najczęściej spotykaliśmy się u Marysi, bo miała swój pokój, wspaniały ogród, a jej rodzice patrzyli na mnie przychylnie. Zresztą oboje uwielbiali Marysię. Byli z niej dumni, bo i najlepsza uczennica w szkole, lubiana i chwalona przez nauczycieli i kolegów, świetna lekkoatletka, na dodatek ze wspaniałym poczuciem humoru. Do tańca i do rózańca – wszystkim nam się wydawało, że los szykuje jej życie po różach. Niestety, czasem w różach jest więcej kółców niż kwiatów.

W dziesiątej klasie nasza „paczka” powiększyła się o Halinę Sadowską, która przyszła do nas z Ełku. Dość wysoka, ładna i nosiła wąskie spódniczki, co w naszej szkole nie było mile widziane. Była już wtedy narzeczoną, co budziło w nas wielkie zainteresowanie, podziw, a może i trochę zazdrości. Szalenie

ekspresyjna, otwarta i gadatliwa. Natychmiast została zaakceptowana, bo po prostu oświadczyła, że chce być naszą przyjaciółką. Jej narzeczeństwo pękło bardzo szybko, bo zakochała się w koledze z klasy równoległej.

Elka Żywicka w paczce była moją najbliższą przyjaciółką, oczywiście po Marysi. Doskonale wtedy rozumiałymy się. Niewysoka, bardzo

ładna i zgrabna. Żywa jak srebro, wesola, pełna humoru i inteligencji. Świetna uczennica i też sportsmenka. Bardzo w niej ceniłam odwagę; potrafiła powiedzieć każdej z nas nawet nieprzyjemną, ale jakże potem prawdziwą i ważną uwagę. Umiiała przyznawać się do własnych błędów, niezależnie od konsekwencji. Ceniłam ją też za wrażliwość, gotowość niesienia pomocy, rady. Bardzo też lubiła „psie figle”, za które wielokrotnie obrywała.

Baska Żywicka, stryjeczna siostra Elki, była wysoką, smukłą dziewczyną. Już wtedy było jasne, że będzie bardzo efektywną, elegancką kobietą. Każda najgłupsza szmatka na niej miała niepowtarzalny szyk. Ze względu na rozliczne talenty sportowe, była ulubienicą pana Werczyńskiego. Wspaniale grała na pianinie, harmonii i innych instrumentach, była więc często i może nadmiernie wykorzystywana jako „orkiestra” i w szkole, i na prywatkach. Miała wiele talentów plastycznych i zawsze potrafiła zrobić coś z niczego. Była nieformalną przywódczynią paczki, a jej pomysły zawsze były chętnie akceptowane. Dziś powiedziałabym, że miała charyzmę.

Alka Barbachowska była z nas najbardziej stateczna. Stosunkowo też najluźniej związana, bo przyjaźniła się też z innymi kótkami. Alka była miła i ładnie śpiewała – miała piosenek zasób ogromny. Lubiałam słuchać jej nucenia.

Cześka Truskowska mieszkała w internacie i pamiętam, że miewała mnóstwo kompleksów na tle swej urody, która zresztą nie pozostawiała nic do życzenia. Chyba najmniej udzielała się towarzysko, najszybciej też zginęła nam z pola widzenia.

Nadeszły wakacje. Ostatnie bez troskie wakacje przed „dorobnością”, przynajmniej formalną. Perspektywa wyjazdu Marka na uczelnię. To piękne, upalne lato chcieliśmy spędzić tak, jakby było ostatnie. I było – w pewnym sensie. Pamiętam je jako bardzo intensywne, barwne, pełne spotkań, prywatek, wspólnych wypraw. I pożegnań.

Klasa jedenasta – pustka, oczekiwanie na listy i przyjazdy. Z czasem listy przychodziły coraz rzadziej, a kontakty stawały się oficjalne – z bólem serca trzeba było spojrzeć prawdzie w oczy i przeżyć.

Jedną z najbardziej atrakcyjnych imprez tego roku była studniówka. Nasza paczka uczestniczyła w koncepcji, strojeniu, układaniu menu. Szykowaliśmy swój pierwszy poważny bal. Nie rodzice potrząsając kiesą, ale my. Owszem, rodzice piekli, gotowali, co kto mógł. I tu muszę wspomnieć o babci Marysi, pani Bronisławie Witkowskiej. Przygotowała nam większość potraw i wypieków i to jak wspaniałych! Była to już starsza kobieta (lub mi się tak wydawała), której mimo ciągłych pobytów u Marysi, nigdy nie widywałam przy pracy. A prowadziła cały ich dom, zajmowała się nie tylko kuchnią, ale wszystkim co w domu jest do zrobienia. Myśląc o czasach bez pralek, lodówek i odkurzaczy, wydaje mi się to dziś zupełnie niewiarygodne. A o ich rodzinie, jak ją znałam, nie można było powiedzieć, że jest niewymagająca. Cicha, zawsze na uboczu babcia musiała być geniuszem organizacji.

Bal się zbliżał, a ja miałam problem. Problem co prawda miałam i bez studniówki, ale wobec pięknych

ze str. 28

Ta ła...
→

pazuchę, wypełniły kieszenie. Nie dało się ukryć, że jest coś podejrzanego w naszym wyglądzie.

Nie bez strachu ruszyliśmy do domu. Dziewczyny szły dosyć daleko za nami. Zbliżyliśmy się ze Stefanem do pierwszej chaty i zobaczyliśmy za nią kilku czających się mężczyzn. Przyglądali się nam wnikliwie, ale nas nie zatrzymywali. Przeszliśmy z duszą na ramieniu. Kiedy zbliżyły się dziewczyny, wyskoczyli z ukrycia, a był to – zdaje się – przewodniczący kotchozu i jego podwładni. Kazali im wysypywać tęp. Uzbierała się tego dosyć duża przyzma. Miały i tak szczęście, że nie doniesiono na nie do NKWD czy milicji i nie oskarżono o kradzież mienia państwowego, za co groziły bardzo surowe konsekwencje – więzienie, albo nawet pobyt w łagrze.

Co światlejsi zestańcy martwili się tym, że młodzież jest zupełnie pozbawiona możliwości zdobywania wiedzy, a to czego nauczyła się w Polsce, idzie w zapomnienie. Postanowili stworzyć choćby namiastkę szkoły. Zajęła się tym pani Genowefa Gibes i pan Stanisław Polak.

Pierwszego grudnia grupka dzieciaków rozpoczęła naukę kilku przedmiotów: języka polskiego, niemieckiego (pan Stanisław powie-

dział nam, że dobrze jest znać język wroga), historii, matematyki, geografii i religii. Poziom uczniów był różny. Dla jednych było to przypomnienie tego, czego już się uczyli, dla innych całkowicie nowe wiadomości. Nie było żadnego podręcznika, nie było na czym pisać.

Mnie udało się kupić atlas geograficzny dla 4 i 5 klasy szkoły początkowej wydany w Moskwie w 1938 roku. Na kilku mapach politycznych była jeszcze Polska w jej przedwojennych granicach. Duży format 30 x 25 cm, a najważniejsze, że na dwóch sąsiednich stronach były mapy lub ilustracje, a dwie odwrotne były czyste, jeżeli nie liczyć tytułów map. Notatki robiłem ołówkiem, pismo było okropne, nierówne, przecież nie siedzieliśmy w ławkach, czy przy stole, a co najwyżej na jakimś postaniu lub wprost na podłodze, zaś „zeszyty” trzymaliśmy na kolanach. Lekcje odbywały się w małej izdebce u państwa Polaków. Oprócz mnie uczestniczyli w nich dwaj młodszy bracia pana Stanisława – Stefan i Gieniek oraz Zbyszek Pierkowski. Innych, niestety, nie pamiętam.

28 lutego otrzymaliśmy wykonane własnoręcznie przez pana Stanisława świadectwa za pierwsze półrocze, które trwało zaledwie trzy miesiące. Ostatnia lekcja, jaką zanotowałem w swoim „zeszycie” a druga w drugim półroczu nosi datę 3.03.1943. Przerabialiśmy na niej „Hymn o zachodzie słońca” J. Słowackiego.

Była to zapewne ostatnia lekcja. Rok 1943 zaczął się niepomyślnie dla wszystkich Polaków. Właściwie to już po wyjeździe do Iranu Armii Andersa, jak ją nazywaliśmy, stosunki polsko – sowieckie znacznie się ochłodziły. Zresztą dobre były zawsze tylko w oficjalnych wypowiedziach. Jak mogło być inaczej, skoro ciążyły nad nimi dawne relacje ciemnego i ciemniejszy. Perfidia bolszewików odczuwalna była na każdym kroku.

Do Armii Polskiej NKWD wcisnęło swoich agentów, w tym polskich komunistów, byłych członków rozwiązanej w 1938 roku na rozkaz Stalina (oficjalnie na podstawie uchwały Międzynarodówki Komunistycznej), Komunistycznej Partii Polski. We wrześniu 1941, a więc zaledwie miesiąc po podpisaniu umowy Sikorski – Majski, wielu z nich wezwano do Moskwy, wystano na miesięczne przeszkolenie do Kuncewa¹, a następnie skierowano do Armii Andersa. Do połowy grudnia grupa ta liczyła 81 osób. Kim byli ci ludzie? Oto fragment raportu polskiej komunistki, Wandy Bartosiewicz: „*Jaki element zastałam w Buzutuku? 99% to zwolnieni z więzień, obozów i zsytki. Według zajmowanej w Polsce pozycji to wojskowi, policja, kolejarze, obszarnicy i ich poddani, osadnicy, koloniści itp. W chwili obecnej wszyscy oni uzyskali wolność i przyjechali tutaj. Jedno można powiedzieć – wszyscy oni są zagorza-*

str. 32

KRONIKA
ŁOMŻYŃSKA

W FORCIE nr 3 łomżyński klub „Fort” otworzył Muzeum Fortyfikacji. Odbył się także capstrzyk z okazji 59. rocznicy zakończenia II wojny światowej.

TANCERZE z grupy „Crazy Twisting Group” Marka Kisiela, działającej przy MDK DŚT w łomży zakwalifikowali się do udziału w mistrzostwach świata w Berlinie, a zaraz potem wygrali XVII Ogólnopolski Turniej Tańca Młodzieżowego w Wąlczu.

DZIEWCZĘTA z pracowni plastycznej MDK DŚT, kierowanej przez Annę Bureś wróciły z tarczą z ogólnopolskich konkursów plastycznych: Judyta Chojnowska otrzymała I nagrodę, a Paulina Łąka – nagrodę specjalną za ilustracje do fraszek Jana Sztudyngera.

PONAD 10 tys. złotych (bez odsetek) winny jest każdemu pracownikowi kolneński szpital.

PROKURATURA Okręgowa w łomży oskarżyła sześciu złodziei i paserów o kradzież sześciu samochodów osobowych w Warszawie, Zambrowie i łomży.

kreacji moich koleżanek, stawał się okropny. A był banalny – nie miałam się w co ubrać. I nie było to czcze „gadanie”. Moja eksploatowana od szóstej klasy spódniczka od marynarskiego mundurka, wielokrotnie i do granic możliwości odkładana, zrobiła się zbyt krótka, a poza tym na „odłożeniach” przetarta. Elegantszej bluzki też nie miałam, tylko nieliczne „dzieła” panny Gieni, domoroślej krawcowej, naszej sąsiadki. Mama obiecywała, że coś sprawi mi na studia, ale o przyspieszeniu nie chciała słyszeć. Na co dzień nosiłam fartuch, a pod nim byle co. Ale imprezy? Choć daleka od kompleksów, przynajmniej w innych kwestiach, w tej nie mogłam ich uniknąć. Propozycje pani Kazi Falkowej (podstuchane), że coś mi uszyje, spotkały się ze stanowczą odmową Mamy. I tu z pomocą przyszła mi moja ukochana pani Stasia Świącicka. Jej mogłam się wyplakać bez obaw o



niedyskrecję. Obejrzała swoją garderobę, przymierzaliśmy i nie muszę mówić, jak byłam zachwycona. Obie nurtował nas niepokój, jak przekonamy Mamę. Pani Stasia obiecywała dołożyć starań, ale zdawałyśmy sobie sprawę, że proste to nie będzie. No i oczywiście, pierwsze było stanowcze „nie!” Jak w końcu udało się jej przemóc opór Mamy – sama nie wiem, ale jakoś z

czasem się udało. Biedna, łagodna pani Stasia dostała za swoje dobre serce wiele ostrych wymówek. I nigdy jej tego nie zapomnę, póki mego życia.

No i nadszedł oczekiwany bal. Pięknie wystrojona w elegancką spódniczkę i śliczną bluzkę pani Stasi, postanowiłam się dobrze bawić i nie tęsknić za nikim. Sala była ładnie i dowcipnie udekorowana, kolacja elegancka, dziewczyny jak zwykle kochane, wielu chłopców do tańca. Bawiłam się świetnie i wesoło. Pogoda była śnieżna i mroźna, powrót w scenerii bajkowej. I tak minęło ostatnie zdarzenie, jeszcze odwracające myśli od matu-ry.

Tej zimy zawarłam nową, interesującą znajomość. Roman był znajomym Państwa Falków – wysoki, przystojny brunet i... miał 28 lat. Umiał robić wrażenie na siedemnastolatce! Podawał płaszcz, całował w rękę, przynosił kwiaty, z rewerencją odprowadzał do domu. Znał mnóstwo wierszy, pięknie śpiewał, robił zdjęcia. Nie narzucając się, zagospodarowywał cały mój wolny czas. A ja byłam mu wdzięczna i dumna, że taki wyjątkowy mężczyzna ma dla mnie czas. Gdy wyjeżdżałam do Wrocławia, polecił mi opiece swego brata, który tam studiował. Elegancja jego sposobu bycia i bezinteresownych, miłych gestów zawsze była dla mnie niezapomnianym wzorem, któremu mało kto umiał dorównać.

Matura była coraz bliżej, moje nerwy coraz bardziej napięte, przerażenie rosło. Nigdy przedtem ani potem nie przeżywałam tak żadnego egzaminu. Uczyłam się jak wariatka, dzień i noc. Nawet Mama usiłowała mnie oderwać i rozerwać. Próżny trud, uczyłam się jak w transie, do granicy możliwości zapamiętywania i rozumienia. Wydawało mi się zupełnie niemożliwe, bym zdała maturę. Miałam bardzo dużo czasu do egzaminów ustnych jako osoba na „W”. W roku 1955 wyglądało to tak, że wszyscy zdawali pisemnie polski i matematykę, a potem, według alfabetu, sześć przedmiotów niezależnie od wyników egzaminu pisemnego. A więc: polski, matematyka, fizyka, biologia, historia i nauka o Konstytucji, czyli nauki polityczne. Polskiego, matematyki i fizyki bałam się z rozsądkiem – ale trzy

str. 32 ➔

DZIEŃ Bibliotekarza i Bibliotek zgromadził w Miejskiej Bibliotece Publicznej szafarzy książki z całego powiatu. Krystyna Sobocińska, Barbara Piotrowska, Joanna Dobrzycka i Jolanta Żochowska otrzymały nagrody Prezydenta Łomży. Za wspieranie bibliotek uhonorowano wójtów z gminy Łomża, Miastkowo i Śniadowo.

15-KILOGRAMOWEGO sazana o długości 87 cm wylowił z Narwi w okolicach Piątnicy Andrzej Ponichtera z Łomży.

PONAD 260 wykonawców wzięło udział w Regionalnym Przeglądzie Kapel, Śpiewaków i Gawędziarzy Ludowych w Zbójnej.

ŁOMŻYŃSKA policja zatrzymała pięciu młodych (17– 22 lata) bandytów z Ostrowi Mazowieckiej, którzy na „gościnnych występach” w Łomży dokonali rozboju na trzech kobietach.

PROKURATURA Rejonowa w Łomży postawiła zarzut postępowania się sfalszowanymi dokumentami dwóm policjantom z Białegostoku.

AKCJĘ „Czysta witryna” prowadzą łomżyńscy kupcy jako protest przeciwko nieskuteczności lokalnych władz w sprawie budowy supermarketów. W witrynach nie będą umieszczane żadne plakaty związane z wyborami do europarlamentu.

MILION złotych na remont starej części Ratusza zamierzają wydać jeszcze w tym roku władze Łomży. **OBJAZDOWĄ** Poradnię Rodzinną zamierza uruchomić po wakacjach Powiatowe Centrum Pomocy Rodziny w Łomży.

O PONAD pięć tys. metrów kwadratowych powiększy się targowisko miejskie w Łomży, dzięki przekazaniu przez PKP działek przy torach kolejowych.

TRZECH Polaków, dwóch Ormian i czworo Łotyszów zatrzymali w Łomży przy ul. Spółdzielczej funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego podczas nielegalnej produkcji papierosów angielskich.

ze str. 30

Ta ła...


tymi wrogami ZSRR, gotowymi zemścić się za swoje cierpienia. Tych, wśród których ja się znajduję, nie odmieni i ich trzeba będzie tylko zlikwidować".² Pozostawiam ten fragment bez komentarza.

Jak zanotowała pani Marylka, w Dżireń-Kupie już 31.01.1943 r. milicjant Klimienko wezwał do siebie Polaków – mężczyzn i odebrał im *udostowierienija*. 12 marca aresztowano pana Łuckiego i Piwowarskiego, a następnego dnia państwa Filipów i naszego nauczyciela, pana Stanisława. Wielokrotnie jeszcze aresztowano i wypuszczano na przemian, a nawet wywożono do rejonu również innych naszych towarzyszy niedoli. Akcja ta miała na celu zastraszenie i zmuszenie Polaków do przyjęcia sowieckich paszportów, a tym samym

potwierdzenie sowieckiego obywatelstwa. Już wcześniej musieliśmy zrobić sobie odpowiednie zdjęcia. W tym celu trzeba było udać się do Sol-Ilecka. Mamie i babci zrobili odbitki z ich przedwojennych zdjęć.

W Dżireń-Kupie NKWD wręczyło Polakom sowieckie dokumenty tożsamości 14 marca. Całą tę akcję nazwano paszportyzacją, a rok 1943 – rokiem paszportyzacji. Jak podaje prof. Adam Dobroński³, władze uznały 165 tys. osób za obywateli sowieckich a 1583 skazały za odmowę przyjęcia paszportu.

W końcu marca pan Stanisław Polak, Zbyszek Pierńkowski i ja dostaliśmy wezwania do Chobdy na komisję poborową. Zawiózł nas Kazach saniami zaprzężonymi w wielbłąda.

Jechaliśmy dwa dni. Mam kartkę pocztową, którą wysłałem z rejonu do rodziców trzeciego kwietnia. Piszę w niej, że w Chobdzie są już roztopy, i że rozpadają się

moje walonki. To wołtokowe obuwie noszone bez kaloszy nie nadawało się do chodzenia po mokrym śniegu, a tym bardziej po wodzie. Piszę również, że na komisji było dużo Polaków, a my trzej zostaliśmy przyjęci i mamy jechać na następną komisję do Aktubińska. Jednak następnego dnia mnie i Zbyszkowi powiedzieli:

– *Wy młodziak iditje domoj* (Wy młodzież, idźcie do domu).

Jak to prosto brzmi: „*Iditje domoj*”. Nie ważne, że do domu jest około 120 km, że są roztopy, „*iditje domoj*”.

Ale i tak byliśmy w lepszej sytuacji, bo pana Stanisława wraz z wieloma innymi zatrzymali. Pan Stanisław już nie wrócił. Podobno był w tak zwanym batalionie pracy gdzieś pod Moskwą, skąd uciekł, ale został złapany i wszelki ślad po nim zaginął.

A więc ze Zbyszkim wracamy. Zbyszek, rok starszy ode mnie, należał do wielodzietnej rodziny po-

ze str. 31

Obrazki...


pozostałe, które praktycznie leżały odłogiem – napawaly mnie lękiem przed totalną kompromitacją. I do tego okropnie długi czas oczekiwania! Moje koleżanki z początku alfabetu zdawały o około miesiąc wcześniej. W końcu nadszedł ten oczekiwany i straszny czas (dwa dni) – zdałam – i koszmar się skończył.

Teraz miałam na głowie następne zmartwienie – egzamin na politechnikę. W moim przypadku wybór kierunku studiów nie był oczywisty. Jako osoba zdolna, ale bez sprecyzowanych zainteresowań, miałam poważny dylemat. Marzyła mi się historia sztuki (nie wiem skąd, gdyż w warunkach łomżyńskich i zgrzebnej biedzie, o zbratanie ze sztuką nie było łatwo), ale ten pomysł odrzuciłam samokrytycznie, jako kompletnie pozbawiona zdolności plastycznych. Z tego samego powodu odrzuciłam myśl o architekturze. Dostałam do wniosku, że jedyne co mogłabym studiować z przyjemnością, to historia. I jak zwykle, jak zwykle kategorycznie, na tym etapie w moje rozważania wkroczyła Mama. Wyłożyła mi cienie domniemanej a wielce prawdopodobnej pracy nauczycielskiej, do tego w przedmiocie nieobojętym politycznie. Niestety, musiałam jej przyznać rację i myśleć dalej. Moja Marysia nie miała podobnych dylematów – od dawna planowała studia na budownictwie. Pan Kondratowicz też twierdził, że jak świat światem, ludzie zawsze budują domy lub inne szopy, więc się w tym zawodzie nie zginie. No, to naprzód na budownictwo! I to razem z Marysią, do Warszawy.

W maju było składanie „papierów”, więc złożyłam, nie przypuszczając, że i to się Mamie nie spodoba. Jak się okazało, wybrała już dla mnie fach, a była to chemia. Bardzo się z Mamą pokłóciłam, a ona roztoczyła przede mną sielankowy obraz czystego, ciepłego laboratorium, z dala od polityki, w przyszłościowej dyscyplinie nauki i przemysłu. Żeby wytrącić mi argumenty o nudzie i trudzie, umówiła mnie na cykl spotkań z panem Anatolem Falko. Rzeczywiście, bardzo ciekawie umiał przekazywać wiedzę i nieco rozwiął moje obawy, że nigdy w życiu nie polubię chemii. Tak więc moje podanie na Politechnikę Warszawską zostało wycofane, a złożone na Wydział Chemii Politechniki Wrocławskiej. Tyle miałam wtedy prawa do robienia własnych błędów.

Zaraz po maturze zostałam wysłana przez kolegium rodzinne Mama – stryj Sewer na kurs przygotowawczy na Politechnikę Wrocławską. Akurat nie miałam nic przeciwko temu, bo i powtórka, poznanie wykładowców i uczelni. Na kursie było bardzo sympatycznie, poznałam mnóstwo przyszłych studentów i ciekawe miejsca Wrocławia. Egzamin się odbył, zostałam przyjęta.

Po powrocie do łomży było jeszcze trochę czasu na odpoczynek z moimi kochanymi dziewczynkami, no i na uszycie obiecanej „wyprawy”. Była to ładna, niebieska sukienka z bołerką, bluzka i spódniczka. Razem z prezentem od cioci Nusi złożonym ze spódniczki i bluzki, było to takie zatrząsienie ciuchów, że nie wiedziałam, jak sobie poradzę z decyzją „w co się ubrać”. Tak wyposażona, z garścią nadziei, dużą dozą optymizmu, strachem przed nieznanym – ruszyłam na podbój wielkiego miasta.

Anna Ostrowska

chodzącej z Drozdowa, wsi leżącej nad Narwią, 9 km na wschód od Łomży. Na zejściu oprócz niego była mama – pani Władysława, starsza o dwa lata siostra Maria (nazywali ją wszyscy Marycha), młodsza siostra Danusia (gdzie nas wywozili miała cztery latka) i najmłodszy brat Sebek, który w dniu wywózki miał zaledwie roczek. Drugiej czwórce rodzeństwa: Zosi, Basi, Tatkowi i Józkowi udało się zmylić czujność *enkawudystów* i uciec z domu. Wszyscy przetrwali okupację niemiecką.

Ojciec Zbyszka – Aleksander, został w 1940 roku aresztowany za organizowanie zbrojnego podziemia. „Zaliczył” więzienie w Łomży, Mińsku i słynną tubiankę w Moskwie. Skazany na osiem lat robót został wywieziony do Archangielska, a później do Workuty. Rąbał las. W 1941 roku zwolniony na podstawie amnestii dostał się do Armii Andersa i wraz z nią wyjechał do Iranu. Dopiero gdzieś w świecie dowiedział się o losie swoich bliskich. Pani Marylka zanotowała pod datą 21.09.1943, że przez Polski Czerwony Krzyż w Iranie przyszedł list od pana Aleksandra. List wysłany był z Palestyny.

Droga powrotna okazała się drogą przez mękę. Szczególnie ja miałem poważne problemy. Rozpadające się walonki nie chroniły przed chłodem, a tym bardziej przed wodą, zaś długa bekieszka⁴ dziadka, którą miałem na sobie utrudniała poruszanie się.

Kilka kilometrów za miastem drogę przecinał szeroki i dosyć głęboki jar, teraz całkowicie zasypany śniegiem. Na jego środku zobaczyliśmy sanie. Tył znajdował się pod śniegiem, zaś część przednia z hotoblami⁵ sterującymi w górę przypominała sprzężone działko przeciwlotnicze. Za chwilę mieliśmy się przekonać, co tu się mogło wydarzyć.

Pierwszy krok na śnieg pokrywający jar i noga zapada się głęboko z chlupotem. Pod śniegiem płynie rzeka. Drugi krok i jest to samo. Im dalej tym głębiej. Chcąc zrobić następny krok, trzeba wysoko zadrzeć nogę, aby znalazła się nad śniegiem, wysunąć ją nieco do przodu, postawić na śniegu i znów zapaść się aż do dna. W najgłębszym miejscu brodziliśmy powyżej pasa. Moja bekieszka przesiąknięta lodowatą wodą stała się niesamowicie ciężka, a o walonkach lepiej nie mówić. Wreszcie udało nam się przebrnąć na drugą stronę. Byliśmy przemoczeni i przemarznięci, ale nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy maszerować dalej.

Pod wieczór napotkaliśmy dwie bazy, w których trzymano bydło, a w wydzielonych kilku małych izdebkach mieszkali Kazachowie. W pierwszej bazie nie chciano nas przyjąć i jeszcze poszczuto psami, natomiast w drugiej samotna Kazaszka nie dość, że pozwoliła przenoćować, to jeszcze udzieliła jakiejś nędznej strawy – podzieliła się tym, co miała i podtrzymywała całą noc ogień

str. 34 ➔

Jerzy Smurzyński

Czy matura, czy chęć szczerą?

Jesienią 1944 roku mieszkańcy Łomży zostali wysiedleni do okolicznych wsi i miasteczek. Łomża leżała wówczas na linii stojącego na Narwi frontu. Część z nich trafiła do

wa Osiecka i już 16 listopada 1944 roku uruchomiła kilka klas państwowego Gimnazjum Koedukacyjnego w Łomży z tymczasową siedzibą w Zambrowie.



„Rodzinne” zdjęcia z Niespodzianki. Siedzą od lewej – pani Monika Ligocka, ks. Roman Siwa i Jerzy Smurzyński. Stoją: – za ks. Siwą – Edek Gżewski, nad panią Ligocką – Felek Danielewicz.

Zambrowa i okolic. W Zambrowie znalazła się także p. prof. Stanisła-

Kiedy ruszył front na Narwi, gimnazjum przeniosło się do Łomży. Nie-

stety, dotychczasowe budynki – zarówno gimnazjum męskiego, jak i żeńskiego – nie nadawały się do użytku. Jednak już w lutym 1945 roku, w tzw. domu Chodźki przy ul. Zjazd pracowały wszystkie klasy od I gimnazjalnej do II licealnej. Grupowały młodzież, która swoją edukację rozpoczęła na tajnych kompletach. Dla tych, którzy z różnych powodów podczas okupacji nie mogli się kształcić, stworzono „klasy przyspieszone” (semestralne), gdzie program jednej klasy przerabiano w ciągu półroczu.

Ponieważ na tajnych kompletach ukończyłem program trzech klas gimnazjum, po poświadczeniu tego faktu przez prowadzącą nasz komplet p. prof. Marię Nożewską, w lutym 1945 roku zostałem przyjęty do IV klasy gimnazjum i stałem się – jak moi rówieśnicy – uczniem gimnazjum. Ale trwała jeszcze wojna, a my byliśmy typowym „pokoleniem wojennym” i daleko nam było do statusu normalnego ucznia gimnazjum, który powinien mieć tylko jeden cel – naukę. My ten cel mieliśmy także, ale tkwiliśmy jaszczce w naszych sprawach okupacyjnych. A więc sprawy akowskie (później AKO i WiN), li-

str. 34 ➔

➔ ze str. 33

Ta łąza...

susząc naszą przemoczoną odzież. Spaliśmy na polu przy glinianym piecu, ale w ścianie były szpary i przez noc nawiał na nas nieco śniegu.

Gospodyni, to słowo brzmi jak tytuł arystokratyczny przy jej widocznej mizerii. Użała się, że jest sama, bo jej syna zabrali do wojska i być może poniewiera się gdzieś tak jak my. Byliśmy ogromnie wdzięczni za jej dobre serce, bo gdyby nie ona przyszedłoby nam spędzić noc na dworze, albo wcisnąć się cichaczem między krowy.

W nocy ścisnął mróz i kiedy rano rozpoczęliśmy następny etap, katuże pokrywał cienki lód, a zamrznięty śnieg kłuł tysiącem ostrzy. Z walonków zostały wkrótce tylko cholewy i każdy krok znaczyłem krwią. Zbyszek owinął je jakimiś szmatami, co na pewien czas zabezpieczyło moje stopy.

Kolejnego jaru nie pokrywał już śnieg, a rwła nim szeroka rzeka. Zbyszek przebył pierwszy tę przeszkodę. Ja dobrnąłem do połowy i zatrzymałem się na chwilę, aby odpocząć. To wystarczyło, żeby niesiony przez wodę piasek zamulił mi nogi. Kiedy chciałem ruszyć dalej stwierdziłem, że nie jestem w stanie wyciągnąć ani jednej, ani drugiej. Szarpałem się z całych sił, ale nic nie pomagało. Rozplakałem się w swojej bezsilności, a Zbyszek widząc, że nie dają sobie rady, ruszył z powrotem by mi pomóc. Był już blisko, kiedy zdesperowany wpa-

dłem na pomysł, żeby rękami rozgarnąć wiążący nogi piasek. Schyliłem się twarzą dotykając niemal wody i oburącz zacząłem go rozgarniać. Udało mi się w ten sposób oswobodzić jedną, a później drugą nogę akurat w chwili, kiedy Zbyszek dotarł do mnie. Razem wydostaliśmy się na drugi brzeg. Ja byłem przemoczony od góry do dołu. Następne kilometry przebyliśmy marszobiegami, dzięki czemu część wody z mojej odzieży po prostu odparowała.

Kolejna przeszkoda to mała rzeczka Tumanca, lewy dopływ Bolszoj Chobdy. Mała latem, ale teraz rozlewała się szeroko, niosąc wzburzone, brudno – szare wody, pełna wirów, groźna. Nie było mowy o jej przebyciu. Daleko na horyzoncie, w kierunku przeciwnym do jej nurtu, majaczyły jakieś wzgórza. Sądziliśmy, że idąc w tę stronę trafimy na miejsce, w którym uda się przejść na lewy brzeg. Jak długo szliśmy i ile kilometrów pokonaliśmy? Nie mam pojęcia. Po przeciwnej stronie ukazało się kilku jeźdźców galopujących z biegiem Tumanczy. Zatrzymali się naprzeciwko nas i zapytali czy tam skąd idziemy można przejechać rzekę. Odpowiedzieliśmy, że właśnie idziemy w górę mając nadzieję na znalezienie brodu.

– Idziecie na próżno – stwierdzili. – My przejechalibyśmy konno wiele kilometrów i nie znaleźliśmy takiego miejsca.

Ruszyli dalej, a my nie widząc innej możliwości, zawróciliśmy. Po dotarciu do drogi postanowiliśmy iść dalej w dół rzeki. Za którymś z kolei zakrętem naszym oczom ukazał się niesamowity widok. Jakaś kra musia-

➔ ze str. 33

Czy matura...

kwidacja różnych pozostałości okupacyjnych, czy po prostu – kłopoty materialne. Dlatego obecność w szkole, jakkolwiek najważniejsza dla nas, czasami ustępowała akcji zbrojnej, pracom przy ekshumacji, czy po prostu wyjazdowi w celach zarobkowych. Krótko mówiąc: przedzierzgnięcie się z żołnierza, skazańca, dywersanta, czy człowieka niezależnego materialnie w spokojnego ucznia gimnazjalnego z dnia na dzień było niemożliwe i nasi profesorowie to rozumieli. Tolerowali nasze częste nieobecności na zajęciach, ale nigdy nie stosowali taryfy ulgowej w ocenach. Można było nie być na lekcji, ale nie można było nie mieć uczciwie otrzymanej oceny. Nie było ani „taryfy ulgowej”, ani oceny „za zastrugi”.

Przykładem tego może być moje zdobywanie oceny z biologii. Późną wiosną rozpoczęły się prace ekshumacyjne w Jeziorku, w których mu-

siałem uczestniczyć. W związku z tym do szkoły chodziłem „w kratkę”. Tak się złożyło, że moje nieobecności wypadły w dni, kiedy pani prof. Wieliczkowa wykladała biologię. Pani profesor wiedziała, dlaczego nie jestem na jej lekcjach, uznała to za

usprawiedliwione, ale zgodnie z obowiązującą w gimnazjum zasadą poprosiła mnie o zdanie u niej egzaminu z całości obowiązującego materiału. Ocena na tym egzaminie warunkowała otrzymanie świadectwa ukończenia gimnazjum. Ponie-



Po egzaminie maturalnym. Siedzą: trzeci od lewej – dyrektor Gregorowicz, za nim trzech delegatów Kuratorium, drugi od prawej prof. Kotołmyjec. Stoi pierwszy od lewej w środkowym rzędzie prof. Śliwak, za nim por. Kucharczyk, piąty – sędzia Czyściecki, dziesiąty, pomiędzy uczniami – mgr Zygmunt Grocz. Jerzy Smurzyński stoi w ostatnim rzędzie – czwarty od lewej.

ła się w tym miejscu zaklinować, na niej zatrzymywały się następne, część z nich wypychana była pod spód opierając się o dno, część wsuwała się na wierzch tworząc razem duży zator. Słychać było zgrzyt ocierających się płyt lodu, głośny bulgot przelewającej się między nimi wody. Wszystko to tworzyło urzekającą, ale groźną scenę.

Teraz na pewno nie zdecydowalibyśmy się na taki krok, ale wtedy podjęliśmy ryzyko przejścia po tym drgającym, śliskim i nierównym „moście”. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, a raczej w ogóle nie zastanawialiśmy się nad tym, że jakiś fałszywy krok, poślizgnięcie się, mogło nas wcisnąć między lodowe płyty, albo że w pewnym momencie zator pod naporem pędzącej wody może ruszyć. Wtedy nie pisałbym tych wspomnień.

Wdrapywaliśmy się na ustawione ukośnie tafle, zsuwaliśmy w dół na niższe położone i gdy już przebyliśmy mniej więcej połowę drogi, zobaczyliśmy, że od brzegu oddziela nas szeroki około 1,5 m. pas wzburzonej wody. Przerzuciliśmy swoje węzłki na brzeg. Zbyszek

pierwszy zrobił rozbieg taki, na jaki pozwalała wielkość kry, na której się znajdowaliśmy i skoczył. Udało się! Wylądował blisko wody, ale na brzegu. Nie bez strachu ruszyłem jego śladem. Gdybym się poślizgnął, w najlepszym wypadku groziłaby mi kąpiel, ale na szczęście i mi się udało. Dopiero, kiedy popatrzyliśmy na przebytą drogę, zdaliśmy sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie nam groziło.

Po drodze musieliśmy minąć duży sowchoz Akrab. Nie przypuszczałem, że w końcu roku jeszcze go odwiedzę i jakie będą tego konsekwencje. Ponieważ zbliżał się wieczór, zmuszeni byliśmy tu przenocować. Powtórzyła się historia z Sol-lecka z września ubiegłego roku. Znowu spotkaliśmy pana Anielskiego. Nie pisałem wcześniej, że miał potężnego zeza i gdy z kimś rozmawiał, to człowiek stojący obok czuł się niepewnie, odnosząc wrażenie, że typie okiem na niego, a minę miał zawsze raczej groźną. Chociaż charakter niezbyt pasował do jego nazwiska, to raczej był dobrym człowiekiem.

Widząc moje resztki walonek i moje nogi uzałił się nade mną, wykombinował gdzieś kawalki wojtoku, wyciął z nich podeszwy i przymocował drutem do cholew. Pewnie najbardziej luksusowe obuwie nie sprawiłoby mi tyle radości, co te odrutowane walonki.

Wspominałem, że w tej części Kazachstanu praktycznie są tylko dwie pory roku – lato i zima. Tak było i teraz. Z Akrabu ruszyliśmy nie ośnieżoną drogą, a i wokół śniegu prawie nie było. Gdy mijaliśmy kołchoz Krasnojarskij, gdzie mieściła się wiejska rada narodowa, do której należała nasza Brusitówka, droga była całkiem sucha. Jeszcze kilka kilometrów bez przygód i wreszcie byliśmy w domu.

Odchorowałem tę podróż, chociaż i tak dobrze, że nie zapadłem na zapalenie płuc, czy coś podobnie groźnego, bo przy całkowitym braku jakiegokolwiek pomocy lekarskiej mogłoby się to źle skończyć. Zbyszek o dziwo, nie dostał nawet kataru.

Przeżyte wspólnie przygody i późniejsze kontakty zaowocowały

str. 36



wał termin zakończenia prac w Jeziorku (15 lipca), jak i termin zakończenia roku szkolnego (16 lipca) były prawie jednakowe, któregoś dnia prosto z Jeziorka zjechałem do gimnazjum i zameldowałem się u p. profesor. Ocena „dobry” z biologii na moim świadectwie świadczy zarówno o bezstronności mojej egzaminatorce, jak i o tym, że mimo ciężkiej pracy w Jeziorku nie lekceważyłem obowiązków uczniowskich.

16 lipca 1945 roku otrzymałem „małą maturę” i musiałem jakoś ułożyć swoje dalsze plany życiowe. Właściwie nie powinienem się zastanawiać: ukończyłem gimnazjum, w łomży miałem liceum i po wakacjach powinienem rozpocząć dalszą edukację. Ale to nie było takie proste. Po pierwsze – warunki materialne. Wprawdzie koledzy mojej Mamy z Banku Polskiego wystarali się dla mnie o tzw. „rentę sierocą”, która miała być mi wypłacana do czasu ukończenia nauki, ale kwota ta nie wystarczała na utrzymanie się. Trzeba było dorabiać. Dlatego odbyłem kilka kursów do Warszawy, skąd przywoziłem dla jednego z łomżyńskich aptekarzy potrzebne mu składniki do wyrobu leków (pamiętam głównie siarkę, z której wyrabiano maść na świerzby). Wyprawy takie nie były ani łatwe, ani bezpieczne. Latem 1945 roku trzeba było najpierw „złapać okazję” do Zambrowa. Potem na szosie Zambrów – Ostrow próbować zabrać się jakąś ciężarówką w kierunku Warszawy. Na ciężarówkę jadącą aż do Warszawy trafić było bardzo trudno. Przeważnie jechało się więc etapami: do Ostrowi, potem do Wyszkwowa, a stamtąd już czasami można było jechać następną ciężarówką, albo też pociągiem z

Rybieńka. Most kolejowy na Bugu był zniszczony i bardzo długo, nawet po uruchomieniu pociągu na trasie Wyszkwów – Ostrołęka, z Wyszkwowa do Rybieńka jeździło się konnymi platformami. Ale najbardziej niebezpieczny był odcinek Ostrow – Wyszkwów. Jeśli nie jechało się ciężarówką wojskową, pomiędzy Ostrowią a Wyszkwowem, w rejonie istniejących do dzisiaj stawów, samochód zatrzymywany był „do kontroli” przez uzbrojonych mężczyzn, którzy podawali się za „partyzantów”, a byli po prostu zwykłymi bandytami. Pasażerowie byli legitymowani i jeśli wyglądali na zamożniejszych – rewidowani. Nie muszę chyba dodawać, że znalezione w czasie „kontroli” czy rewizji pieniądze i wartościowsze przedmioty ulegały konfiskacie. Dlatego właśnie łomżyński aptekarz wolał zamiast osobistej wyprawy do Warszawy korzystać z mojego pośrednictwa. Ja z kolei nie miałem specjalnych kłopotów podczas „kontroli” – byłem wystarczająco „skromnie” ubrany, a pieniądze miałem dobrze ukryte. Paczki z siarką i innymi „proszkami” nie warte były konfiskaty. W ten sposób podreperowałem nieco moje zasoby finansowe.

Posiadanie własnych pieniędzy i pewna niezależność nie skłaniały młodych ludzi, szczególnie tych którzy podczas okupacji stali się już zupełnie „dorosłymi”, do kontynuacji nauki. Nowe władze, których funkcjonariusze często nie potrafili się nawet podpisać, także niechętnie patrzyły na uczących się. Wykształcenie nie było w tym czasie najważniejszym warunkiem zostania urzędnikiem, czy nawet dygnitarzem. Ważniejsze było zaangażowa-

str. 37



wielką przyjaźnią, którą darzymy się nawzajem, którą do dziś pielęgnujemy i którą zachowamy do kresu naszych dni, a może nawet – tak jak w przypadku Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy Jerzego Owsiaaka – o jeden dzień dłużej.

24 maja dziewięcioro Polaków zostało zmobilizowanych na *trudowej front*, czyli tak zwany front pracy. Wśród nich Zbyszek i ja. Wszyscy dostaliśmy takie oto wezwania:

Wzwanie

Obywatelowi Burzyńskiemu Kazikowi Krasnojarskiej rady wiejskiej, wsi Brusilówka. Jesteście zmobilizowani na front pracy. Bądźcie gotowi na 25 maja 1943 roku o godzinie 10 rano. Punkt zborny wieś Brusilówka

24.05 1943

Pieczęć okrągła

Przewodniczący rady wiejskiej – podpis

Mobilizacja odbywała się na takiej zasadzie, że kochozowi nakazywano wysłać na front pracy określoną liczbę osób. Przewodniczący, chroniąc swoich, kierował Polaków. Podczas całego mego pobytu w Brusilówce ani razu nie zdarzyło się, aby zmobilizowano kogoś z Rosjan.

Zawieźli nas siedem kilometrów na zachód od Soli-lecka i wysadzili przy torze kolejowym, na którym stał pociąg złożony z wagonów towarowych. Okazało się, że to ma być nasz hotel robotniczy. Od pociągu, którym nas wywieźli z Łomży różnił się tym, że żaden wagon nie miał sztab w oknach, drzwi nie były ryglowane i nie było rur służących za ubikacje, no i może tym, że w tamtym nie było tyle robactwa co tu. To miejsce nazywało się po prostu *Kolumna nr 3* (Kolumna nr 3)

Konwojent, który z nami przyjechał, przekazał nas komuś z kierownictwa, otrzymał pokwitowanie i pojechał. Wkrótce zwolniono – nie wiedzieć – czemu dwie dziewczyny: Olę Filipównę i Klarę Kłazukównę. Zostało nas siedmioro.

Okazało się, że jesteśmy na budowie linii kolejowej łączącej Soli-leck przez Aksaj z Urałskiem. Przeglądając starsze mapy można stwierdzić, że takiej linii nie ma, natomiast na mapach powojennych jest. Musiała powstać zatem w czasie wojny, a my ją budowaliśmy.

Pracowaliśmy w głębokim wykopie, który jeszcze pogłębialiśmy. Na jego dnie miały być ułożone tory. Po obu stronach wykop miał kilka wysokich na około metra stopni, które później miały być ukośnie ścięte.

W trzyosobowej brygadzie jedna urabiała kilofem lub łomem twardą jak skała ziemię, a później narzucała urobek łopatą na nosiłki. Dwie osoby podnosiły je i stawiały na pierwszy stopień, wdrapowały się nań, stawiały na następny i tak dalej. Ostatnią czynnością było odniesienie i wysypanie urobku kilkadziesiąt metrów od wykopu. Gdy wrócili z pustymi nosilkami, kopiący musiał już mieć przygotowaną następną porcję ziemi do załadowania. Praca była niesłychanie ciężka i dla kopiącego, i dla wynoszących ziemię. Załadowane nią nosiłki ważyły dobre kilkadziesiąt kilogramów.

W liście do rodziców z 31 maja napisałem, że ostatnią dzień pracujemy osiem godzin dziennie. Od jutra, czyli od pierwszego czerwca, mamy pracować po 10 godzin. Po każdej godzinie nadzorca wołał:

– *Zakurka!* – znaczy przerwa na papierosa

Waliłem się wtedy jak kłoda na ziemię. Dziesięć minut odpoczynku, po czym nadzorca znów wołał:

– *Podjom* – wstawać.

Z trudem unosiłem zmęczone ciało. Wydawało się, że oba okrzyki nadzorca „zakurka i podjom” następowały bezpośrednio jeden po drugim, że ledwie zdążyłem usiąść, a już trzeba było wstawać.

Mieliśmy do wykonania normę – 3 m³ ziemi na osobę, czyli trzyosobowa brygada musiała wyrąbać i wynieść 9 m³. Nie pamiętam z kim ja pracowałem, natomiast Zbyszek pracował z Jadzią Bronowicz i jej siostrą Stasią.

Byłem jednym z najmłodszych, jeżeli nie najmłodszym katorżnikiem. Większość to ludzie w sile wieku. Część z nich pracowała pod strażą. Trudno powiedzieć – kryminaliści czy polityczni. Wielu „wolnych” bardziej od nich wyglądało na kryminalistów.



KRONIKA ŁOMŻYŃSKA

160 TYS. złotych znikło ze skarbca Banku Pekao S.A. w Łomży. W niewyjaśnionych okolicznościach popełnił samobójstwo zastępca głównego skarbnika banku, mimo że to najprawdopodobniej nie on zagarnął te pieniądze.

ZESPÓŁ Szkół Drzewnych przygotowuje się do obchodów 85-lecia powstania.



Czy matura...

nie polityczne, przynależność partyjna i pozytywny stosunek do „nowej rzeczywistości”. Szeroko propagowano hasło: „Nie matura lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera!” Chodziło przede wszystkim o to, aby podkreślić, że to tylko przed wojną, w burżuazyjnym państwie, oficerami mogli zostać maturzyści, a więc synowie ludzi „bogaty”. Władza ludowa zapewniła gwiazdki synom robotników i chłopów. I to pochodzenie było najważniejsze. Matura nie była potrzebna. Na to, że oficer miał trudności z czytaniem można było nie zwracać uwagi. Ważne, aby był „zaangażowany”. To wtedy powstał dowcip: Dlaczego milicjanci chodzą po dwóch? Bo jeden umie czytać, a drugi pisać. Wtedy także odpowiadano na „maturalne” hasło: Nie pomogą szczerze chęci – z piasku bicza nie ukręci!

Nie miałem alternatywy: czy matura, czy chęć szczerą... Mnie te „państwowo – twórcze” hasła nie interesowały, traktowałem je jak dobre dowcipy, tym bardziej że jak wszyscy z mojego środowiska uważałem rozbiście Niemiec tylko za pewien etap wojny. Uważaliśmy, że przecież Zachód nie zostawi nas samych, że Wilno, Lwów, Brześć, Grodno muszą wrócić do Polski, a „trzecia wojna” to kwestia najbliższych miesięcy, no – może roku. W tej sytuacji prawdopodobnie zdecydowałbym się na kontynuację nauki w łomżyńskim liceum. Gdyby nie pewne zdarzenie, które zadecydowało o moich dalszych losach...

Szedłem Dworną i mijalem kondukt pogrzebowy, jakich w owym czasie było w łomży dużo, bo w okolicy działali „partyzanci” lub „bandy” – w zależności kto o nich mówił – i wielu działaczy nowej władzy po spotkaniu z nimi wracało w „sosnowych jesionkach”. Byłem w czapce. Nagle podszedł do mnie umundurowany facet i zażądał dowodu osobistego. Podąłem, a on schował dowód do kieszeni i kazał mi nazajutrz zgłosić się do UB na ul. Nowogrodzkiej. Zastanawiałem się, czy od razu wiać, czy zgłosić się. Ale ponieważ nic specjalnego nie miałem na sumieniu, a nie orientowałem się jeszcze, co może „nowa władza” – poszedłem. W pokoju za biurkiem siedział jakiś oficer, a przy drzwiach mundurowy z miarką, jaką mierzy się materiały w sklepach. Okazało się, że wczoraj był to pogrzeb jakiegoś dygnitarza zastrzelonego przez partyzantów, a ja nie zdjąłem czapki, czym opowiedziałem się przeciw nowej władzy, tym bardziej że oficer był przekonany, iż mając inny pogrzeb z pewnością bym zdjął czapkę. Tłumaczyłem, że nie było krzyża, więc przed czym miałem zdejmować czapkę, bo przy innych pogrzebach zdejmowałem czapkę nie przed nieboszczykiem, a krzyżem niesionym na czele konduktu. Wtedy padło stwierdzenie:

– Bo wy jesteście z AK!

A ja na to:

– Czy ja wyglądam na takiego pobożnego? I wcale nie jestem stary.

Teraz on zbaraniał:

– Co ma do tego pobożność i starość?

A ja:

– Bo w Akcji Katolickiej są tylko pobożni i przeważnie starsi ludzie.

Myslałem, że go szlag trafi. Wymyślał mi, że robię z niego dumnia, że udaję wariata, co to nie wie, co to jest AK, że on już wie i tak, kto ja jestem itd. Ale ja wciąż kojarzyłem AK wyłącznie z Akcją Katolicką, o żadnej Armii Krajowej, o której krzyczał pan oficer „nie miałem pojęcia”. Wreszcie zrezygnował i wypuścił mnie, obiecując, że jeszcze ze mną nie skończył i kiedyś jeszcze pogada. Zorientowałem się wtedy, że w łomży już długo nie wysiedzę i że bezpieczniej będzie jednak pojechać „w Polskę”.

W dalsze trasy jeździło się wówczas pociągami, ale w bardzo nietypowy sposób. Przed wyjazdem należało zaopatrzyć się w PCK lub PUR (Państwowy Urząd Repatriacyjny) w specjalne zaświadczenie stwierdzające, że obywatel taki to a taki udaje się celem poszukiwania rodziny. Na odwrocie kasjer kolejowy wpisywał stację docelową i stawiał pieczęć. Ponieważ wagony były zatłoczone do granic pojemności, najpewniej można było liczyć na miejsce na stopniach, jeśli wagon takie posiadał, albo na dachu. Ten sposób, jeśli tylko uważało się na głowę pod wiaduktami, był chyba najwygodniejszy. Można było tak jechać każdym pociągiem, który szedł w potrzebnym kierunku, a niekoniecznie osobowym. Młodym czytelnikom muszę tu wyjaśnić, że szlaki kolejowe lat 40. różniły się tym od współczesnych, że nie były zelektryfikowane (z wyjątkiem najbliższych okolic Warszawy, Gdańska i kilku innych dużych miast), a więc nie groziło porażenie prądem. Dzisiaj taka jazda na dachu byłaby niemożliwa. W czasie

str. 38 ➔

BLISKO 150 tys. złotych wydadzą w tym roku służby konserwatorskie na remont zabytkowych rzeźb i obrazów w rejonie łomżyńskim.

TYLKO 2 proc. wyniosła frekwencja podczas referendum w sprawie odwołania burmistrza w Stawiskach. „TERRAZYT” – spółka z łomży zajmująca się produkcją okien, prawdopodobnie będzie eksportowała swoje wyroby do Iraku.

„KOŚCIÓŁ będzie rzucił cień na nasze działki warzywne” i dlatego nie godzimy się na jego budowę” – tak swój protest uzasadniają właściciele trzech działek, sąsiadujących z placem budowy nowej świątyni p.w. św. Andrzeja Boboli.

SPŁYWEM kajakowym Narwią na trasie łomża – Nowogród klub wodny CANOE uczcił 25-lecie istnienia



„KURPIOWSKIE kwiaty” – pod takim hasłem w Szkole Podstawowej w Chłudniach odbyły się warsztaty plastyczne.

Ta łaza...

Raz w tygodniu musieliśmy iść do odwzalnii. Na uboczu stała budka przypominająca wolno stojącą ubikację, w której nasze ubrania i bielizna poddawane były działaniu gorącej suchej pary. Podłoga obita blachą była tłusta od spadającego na nią robactwa.

Wyżywienie było gorzej niż nędzne. Prawie codziennie rano i wieczorem śledzie, czy jakieś inne wędzone ryby, po 200 g na głowę, jakaś ciecz bez cukru nazywana herbatą, a na obiad kubek wodnistej zupki, w której kaszka gonila kaszkę, okraszzonej łyżeczką śmierdzącego oleju. Do tego 800 g gliniastego chleba dziennie. Za to wszystko mieli nam potrącać z pensji. Miskę i łyżkę trzeba było mieć swoją.

Drugi list wysłałem w niedzielę szóstego czerwca. Pisałem w nim, że doszło nam nowe potrącenie. W ostatni piątek zwołano mityng, na którym nakazano „dobrowolnie” podpisać się na *wtorej gosudarstwiennyj zajom* (drugą pożyczkę państwową) w wysokości 230 rubli, rozłożoną na 10 miesięcznych rat.

List wysłałem z Sol-Ilecka, dokąd poszliśmy ze Zbyszkim na bazar. Piszę, że oglądałem kamasze, ale bez szans na kupno, bo kosztowały 1000 – 1600 rubli. Za kilogram masła trzeba było zapłacić 400 rubli. Miałem wielką ochotę kupić kawatek, ale szkoda mi było pieniędzy, bo nie miałem ich za wiele. Kupiłem kilka pęczków szczypioru, który w ciągu kilku następnnych dni kroilem i dodawałem do zupy, dzięki czemu łatwiej było ją przełknąć. Nie było tak czuć oleju i była nieco gęściejsza.

Odnotowałem również wydarzenie, które niezwykle nas wzruszyło. Któregoś dnia przejeżdżał pociąg, a w kilku wagonach polskie dziewczyny i chłopaki. Przypuszczaliśmy, że jadą do wojska. W tym czasie, o czym jeszcze nie wiedzieliśmy, w Sielcach nad Oką formowała się I Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Ale dla nas najważniejsze było to, że na jednym z wagonów, jak to określiłem „wymalowany był duży Orzeł Polski”.

Praca ponad siły, głód, wszy i tęsknota za rodzicami skłoniły mnie do podjęcia decyzji o ucieczce. Do tego jeszcze doszedł list od mamy, w którym zachęcała mnie do takiego kroku. Postanowiłem, że swój zamiar urzeczywistnię w następną niedzielę.

Przepracowałem tu prawie trzy tygodnie i dosyć. Uznałem, że niedziela będzie najlepszym dniem, bo wtedy nikt nie zauważy mojej nieobecności. Rano 13 czerwca, w dniu moich szesnastych urodzin, razem ze Zbyszkim, który jako jedyny był wtajemniczony w mój plan, poszliśmy na bazar. Zbyszek też myślał o ucieczce ale nie teraz.

W Sol-Ilecku pożegnaliśmy się serdecznie i znaną mi trasą ruszyłem na południe. Bałem się okropnie. Jakikolwiek odgłos z tyłu, a ja już wyobrażałem sobie pędzącą za mną pogorń, w każdym napotkanym (a trafiło się takich kilku po drodze) widziałem świdrującego mnie oczami donosiciela, gotowego wydać mnie NKWD.

Późną nocą, kiedy do domu pozostało już niewiele kilometrów, rozległ się tętent kilku koni. Serce we mnie zamarło. Pomyślałem, że już po mnie. Jeźdźcy otoczyli mnie i... odetchnąłem z ulgą, gdy poznałem ich w świetle księżyca. Oni też mnie poznali. Byli to chłopcy z Brusitówki – Rosjanie, którzy pilnowali w nocy znajdującego się na stepie kolchozowego bydła. Oczywiście nie przyznałem się do ucieczki, a po prostu powiedziałem, że idę z Sol-Ile-

KRONIKA
ŁOMŻYŃSKA

WIELKIM korowodem młodzieży rozpoczęły się tegoroczne Dni Łomży. Prezydent Jerzy Brzeziński (bez większego żalu) przekazał klucze młodym władarzom miasta.

PROF. Antoni Jakubczak został prezesem Oddziału Regionalnego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Łomży.

KRZEWY i drzewa wysiewające się w sposób niekontrolowany zagrażają naturalnemu krajobrazowi doliny Narwi – uważają specjaliści.

PONAD 700 zawodników, w tym ponad 500 z zagranicy spotkało się w Łomży w ramach V Polonijnych Igrzysk Młodzieży Szkolnej, organizowanych przez łomżyński Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. BISKUP Stanisław Stefanek i poseł SLD Mieczysław Czerniawski patronowali VII Czerwcowym Dniom Walki z Rakiem, organizowanym przez Stowarzyszenie Kobiet z Problemem Onkologicznym.

SETKI mieszkańców łomży bawili się na wielkim festynie rodzinnym, zorganizowanym na Wzgórzu Krzyża Świętego, w siódmą rocznicę utworzenia tam parafii.

SKANSEN Kurpiowski w Nowogrodzie zainaugurował kolejny sezon turystyczny cykliczną imprezą „Spotkania Skansenowskie”.

KOLNEŃSKA Ochotnicza Straż Pożarna świętowała jubileusz stulecia. Uroczystej Mszy św. z tej okazji przewodniczył biskup Tadeusz Zawistowski.

TRZYNASTU diakonów z Wyższego Seminarium Duchownego w Łomży otrzymało święcenia kapłańskie z rąk ordynariusza diecezji, bp. Stanisława Stefanka.

Czy matura...

niepogody lub zimą, za niewielką opłatą w gotówce lub w naturze, można było jechać bardzo wygodnie na tendrze (zbiornik na wodę i węgiel parowozu).

Podróżując różnymi sposobami przejechałem spory szmat kraju, aby ostatecznie „wylądować” u siostry mojego ojca, a mojej chrześnej matki, cioci Antosi w Ostrowcu Świętokrzyskim. Mając w perspektywie kontynuację tradycji rodzinnych, zapisałem się tam do I klasy liceum handlowego. Trafiałem do bardzo mitej klasy, a wiedza zdobyta w łomżyńskim gimnazjum pozwalała mi bez trudu opanować nowe przedmioty. Ale pamiętajmy, że była to dopiero druga połowa 1945 roku. W Ostrowcu zaczęło się robić gorąco. W pobliskich Górach Świętokrzyskich działały oddziały partyzanckie. U nas PW wykadat porucznik z partyzantki, a podczas marszu śpiewaliśmy pieśni, których nas nauczył. Do dziś pamiętam: „Daleko swą mamy rodzinę i bliskich, my polscy żołnierze od Gór Świętokrzyskich...”. Pod UB ktoś podłożył granat. Ktoś ostrzelał patrol milicji. Funkcjonariusze UB zaczęli węszyć i sprawdzać głównie

tych nowych mieszkańców, którzy znaleźli się w mieście po zakończeniu wojny...

Na Wszystkich Świętych pojechałem do Łomży i już nie wróciłem do Ostrowca. Zostało mi tylko zaświadczenie, że byłem uczniem tamtejszego liceum handlowego. Wkrótce skontaktowałem się z moim stryjem, który dostał posadę dyrektora w fabryce wina w Kruszewicy. Postanowiłem spróbować tam szczęścia. Zostałem zatrudniony jako praktykant i zamieszkałem na poddaszu fabryki. W miejscowej gazecie znalazłem ogłoszenie, że w Inowrocławiu, oddalonym od Kruszewicy zaledwie o 15 km, organizowane są prywatne kursy handlowe dla dorosłych, w systemie semestralnym. Byłem co prawda za młody, ale pojechałem do Inowrocławia i na podstawie małej matury z łomży oraz zaświadczenia z liceum handlowego z Ostrowca, zostałem przyjęty. I tak od lutego 1946 roku rozpoczęłem naukę na kursach w zakresie I klasy licealnej. Nie było to łatwe, bo nauka odbywała się cztery razy w tygodniu po południu, trzeba było za nią płacić, gdyż kursy były prywatne, a na koniec trzeba było zdawać maturę ze wszystkich przedmiotów, właśnie dlatego, że było to prywatne przedsięwzięcie grupy doskonałych zresztą nauczy-

cieli, głównie przesiedlonych z Wileńszczyzny. Miałem trochę zaoszczędzonych pieniędzy, trochę zarabiałem w fabryce, a stryj zapewniał mi mieszkanie, wikt i opierunek. Jechałem więc do Inowrocławia na popołudnie czasami pociągami, ale głównie rowerem, bo pociąg przeważnie nie pasował do godzin rozpoczęcia się zajęć w szkole. Siedziałem na lekcjach, tylko potem już nie miałem powrotu do Kruszewicy. Pociągu nie było, a rowerem nie mogłem, ponieważ „towarzysze” mogli zawsze w nocy rower potraktować jako zdobycz wojenną. W tej sytuacji nocowałem z rowerem na dworcu w Inowrocławiu i świtem wracałem do Kruszewicy. Było trochę trudno, ale jakoś dotrwałem do czerwca i otrzymałem prawdziwe świadectwo ukończenia I klasy liceum handlowego.

Zaczęły się wakacje. Zaoszczędzone pieniądze się kończyły i trzeba było pomyśleć o zarobku. Pomoc ofiarowali mi moi szkolni koledzy, którzy byli starsi ode mnie i pracowali zawodowo. Zdecydowałem się na propozycję Henia, pracownika Spółem w Inowrocławiu. We dwóch podpisaliśmy umowę na konwojowanie transportów kolejowych cukru z cukrowni w Mątwach na Śląsk. Heniek miał w tym zakresie duże do-

str. 41 ➔



GRODZIENSKI Teatr Lalek zdobył nagrodę główną XVII Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego „Walizka” w Łomży za przedstawienie „Tutejsi” w reż. Nikołaja Andrejewa.

GENERAŁ Zbigniew Chwaliński – zastępca komendanta głównego policji przekazał swoim łomżyńskim podwładnym nowe pistolety i kamizelki kuloodporne.

MINĘŁO 25 lat od katastrofy w Zakładach Przemysłu Ziemniaczanego w Łomży, podczas której – po przewraniu wałów zbiornika – wypłynęło pół tysiąca metrów sześciennych ścieków produkcyjnych.

PONAD 30 tys. mieszkańców Łomży uczestniczyło w tym roku w procesjach Bożego Ciała w Łomży. Mszy św. w katedrze przewodniczył ordynariusz diecezji łuckiej na Ukrainie, bp Marcjan Trofimiak. Procesję do czterech ołtarzy ulicami miasta poprowadził bp Stanisław Stefanek.

25 WNIOSKÓW o zwrot przedwojennych nieruchomości przekazał władzom Łomży Związek Wyznaniowy Gmin Żydowskich w Polsce za pośrednictwem rządowej Komisji Regulacyjnej.

60 RECYTATORÓW z Łomży i pow. łomżyńskiego wzięło udział w kolejnej edycji konkursu „Uśmiechnięte strofki”. Najlepsi to: Aleksandra Żebrowska, Karol Michalczuk, Anna Wojciechowska, Patrycja Małachowska, Artur Chelstowski, Martyna Trzaska, Barbara Archacka i Katarzyna Duda.

KILKA tysięcy mieszkańców miasta bawiło się na festynie kulturalnym „Swojsko i wesolo” inaugurującym zasadniczy etap tegorocznych „Dni Łomży”.

W GRAJEWSKIEJ spółdzielni mleczarskiej otwarta została nowoczesna linia technologiczna do produkcji masła o dziennej wydajności 75 ton.



Ta łza...

ka do domu. Przyjęli to wyjaśnienie i odjechali, a ja niezadowolony z tego spotkania, ruszyłem dalej. Niezadowolony, bo swój powrót chciałem zataić, a tu już na wstępie sprawa się wydała.

Domownicy bardzo się ucieszyli z mego powrotu, ale zmartwił ich fakt, że zostałem zauważony przez tutejszych chłopaków. Musieliśmy się liczyć z możliwością doniesienia o moim powrocie do dżireńkupińskiego NKWD lub milicji. Przez jakiś czas w dzień nie wychodziłem z domu, ale kiedy któraś z miejscowych kobiet przyszła do nas i zobaczyła mnie, przestałem się ukrywać.

Dwa tygodnie po mnie uciekł Zbyszek. Podobnie jak ja, jakiś czas nie pokazywał się za dnia, w końcu jednak i on się ujawnił. Powiedział mi, że w dniu mojej ucieczki uciekli wiele innych osób, a po niej dwukrotnie na obiad była zupa z wkładką. Jemu dwa razy trafiło się wołowe oko. Ciekawe czy z tego samego wołu?

Jakiś czas po ucieczce Zbyszka uciekły obie siostry Jadzia i Stasia Bronowiczówny. Długi czas ukrywały się w Brusilówce, ale NKWD je wytropiło. Przewieźli je do Dżireń-Kupy do aresztu, a następnie do więzienia w Aktiubińsku. Tam wkrótce stanęły przed trybunałem wojennym, oskarżone o dezercję. Stasię skazano na pięć lat więzienia, a Jadzię na pięć lat przymusowych robót. Pierwszą wywieziono do Taszkientu, a następnie przerzucono do Czymkentu, gdzie na skutek pracy ponad siły i głodu, zmarła w 1944 roku. Państwo Bronowiczowie otrzymali zawiadomienie o jej śmierci wkrótce po tym, jak zarysowała się szansa na amnestię.

Przedtem jeszcze dostali od niej rozpaczliwy list, w którym pisała, że wypadły jej wszystkie zęby i prosiła o jakąkolwiek żywność. Prawdopodobnie paczki już nie dostała. Do Polski udało się wrócić jej rodzicom – państwu Aleksandrowi i Teresie oraz siostrą Jadzi i Heni.

Jadzię zapędzili do pracy na kolei do odśnieżania torów, a po dwóch miesiącach wezwali do kierownika i

oznajmili, że zostanie skierowana na północ w tajgę do wyrębu lasów. Tu, w Aktiubińsku cieszyła się względną swobodą. Mieszkała w hotelu robotniczym i pracowała bez strażnika. Tam musiała jechać w znacznie gorsze warunki. Znajomi Żyd i Ukraińiec ze Lwowa, z którymi się zaprzyjaźniła stwierdzili, że lepiej wybrać szybszą, lżejszą śmierć i rzucić się pod pociąg, niż tam konać powoli w znoju, mrozie i głodzie, a najlepiej po prostu uciec, co też uczyniła. Pół roku ukrywała się w Brusilówce, a następnie cichaczem przeniosła się do Dżireń – Kupy do centrali i zamieszkała z nami i innymi Polakami pod jednym dachem. Tu muszę wyjaśnić, że my również wróciliśmy do sowchozu.

Tajemnicą pozostaje fakt, że Zbyszek i ja nie znaleźliśmy się w sferze zainteresowań NKWD i nie doznaliśmy takich represji. Może przyczyną było to, że obaj byliśmy jeszcze niepełnoletni? A więc ja pracowałem nadal w kolchozie, tak jakby nic się nie stało. Na przełomie czerwca i lipca stworzono grupę złożoną z Polek, które miały codziennie jeździć do kolchozu Krasnojarskiej, oczyszczać zboże w magazynach. Ja jako jedyny chłopak w tej grupie miałem być dodatkowo woźnicą. Codziennie rano zaprzęgałem konia do *tarantasa*, jechaliśmy na miejsce pracy, a pod wieczór wracaliśmy do Brusilówki.

Zboże, prawie sama pszenica, zmagazynowane było w kilku starych domkach i byłej małej cerkiewce. Pochodziło, jak nam powiedzieli miejscowi, z lat trzydziestych, a więc z okresu, kiedy bezwzględna polityka stalinowska kolektywizacji wsi, doprowadziła do krwawych represji i śmierci głodowej milionów obywateli Rosji Sowieckiej. Po otwarciu pierwszego takiego magazynu doznaliśmy szoku. Powierzchnię całego domku wypełniała warstwa pszenicy grubości co najmniej 1,5 m, ale nie to nas tak zbulwersowało. Warstwa sypkiego zboża miała grubość najwyższej 0,5 m, natomiast cała reszta tworzyła jednolitą, zrosniętą bryłę podziurawioną jak szwajcarski ser „chodnikami” gryzoni. Wierzchnią warstwę wyrzucaliśmy na dwór, gdzie miała przeschnąć na słońcu, a tę zbitą cieliśmy szpadlami i też wyrzucaliśmy na pryzmę. Nie wiem, co z tym zbożem później zrobili.

Przez kilka dni przywoziliśmy do domu niewielkie ilości pszenicy, przeważnie w kieszeniach, ale później zabieraliśmy duże torby i worki, które wypełnione zbożem układaliśmy na *tarantasie* i przykrywaliśmy siemem. Do Brusilówki wracaliśmy pieszo, bo nasze konisko nie było w stanie uciągnąć naszego łupu i nas.

Widocznie zaczęliśmy nasz proceder uprawiać zbyt jawnie, bo któregoś dnia, w czasie kiedy przed powrotem poszliśmy, jak zwykle, wykapać się w Chobdzie, nasze worki z ich zawartością znikły z *tarantasa*. Zaraz potem rozwiązano polską brygadę. Skończyły się dostawy ziarna do domu, ale dobrze, że nie wyciągnięto w stosunku do nas żadnych konsekwencji.

Wkrótce po tym znów otrzymałem wezwanie na *trudowej front*. Tym razem nawet napisali, dokąd będą skierowani. Był to Niżnyj Tagił, miasto położone około 1000 km na północ od Czkatowa, jeszcze za Czerebińskim i Swierdłowskim, w Środkowym Uralu po jego wschodniej stronie, czyli w Azji. Jest to jeden z najstarszych ośrodków górniczych na Uralu, liczący sobie ponad dwa wieki, z rozwiniętym przemysłem hutniczym, maszynowym i innymi. Było oczywiste, że stamtąd nie będzie dla mnie powrotu. Postanowiłem uciekać z Brusilówki, zanim mnie wywozą.

Z sowchozów, jako przedsiębiorstw państwowych, nie mobilizowano ludzi na front pracy, w przeciwieństwie do kolchozów, które teoretycznie były niepaństwowe i miały „przywilej” dostarczania taniej siły roboczej instytucjom państwowym. Najbliżej miałem do Dżireń-Kupy i tam postanowiłem wiać.

Kazimierz Burzyński

¹ Miasto w obwodzie moskiewskim włączone w 1960 r. do Moskwy.

² Wg „Riepriesii protiv Poliakov i polskich grażdian”. Wyd. I z 1997 r., str. 188

³ A. Dobroński „Losy Sybiraków”, W-wa. 1997 r.

⁴ Rodzaj palta podbitego futrem sięgającego znacznie poniżej kolan.

⁵ Dwa dyszle w pojeździe jednokonnym, między które wpręga się konia. (Fragment przygotowanego do druku maszynopisu książki zatytułowanej „Wspomnienia Sybiraka”. Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji).

świadczenie i potrzebował tylko pomocnika. Za każdym razem nadzorowaliśmy załadunek w cukrowni trzech wagonów dla jednego odbiorcy, dwa plombowaliśmy, a w trzecim jechaliśmy na workach cukru. Podróż do Katowic czy Będzina trwała wówczas kilka dni, z przyczepianiem wagonów, formowaniem nowych składów, z czekaniem godzinami na bocznicach itp.

Zwiedziłem wówczas sporo kraju, a przede wszystkim byłem w środku wielkiej „wędrówki narodów”, bo na bocznicach staliśmy przeważnie równolegle z transportami przesiedleńców ze Wschodu na Ziemię Odzyskane. Korzystaliśmy też z tego samego co przesiedleńcy „zaopatrzenia” – na postojach pomiędzy wagonami chodziły kobiety oferujące gorącą zupę z chlebem, czasami kiełbasę i gorącą zbożową kawę. Za niewielką opłatą można było zjeść obiad lub kolację. Resztę uzupełnialiśmy suchym prowiantem. Czasami do zjedzenia czegoś ciepłego zapraszały nas gotujące na ognisku swoje posiłki kobiety z transportów repatriacyjnych. Rewanżowaliśmy się szklanką cukru, którego bardzo potrzebowały dla dzieci. Naogłędaliśmy się biedą, ale też musieliśmy się bardzo pilnować, bo mieliśmy takomy ładunek. A za braki na stacji docelowej można było nawet siedzieć – jeśli cukier był „kartkowy” jego braki traktowano jak sabotaż gospodarczy, a więc przestępstwo polityczne. Złodzieje byli bardzo przemyślni – po-

trafili np. podczas postoju wiercić dziury w podłodze wagonu, albo w czasie jazdy wyciąć dziurę w ścianie. Potrafili też na tzw. górkach rozrządowych odpiąć jeden z wagonów i skierować na zupełnie inne tory odległe nieraz o kilka kilometrów. Kiedy konwojent dotarł do swojego wagonu był on już zupełnie pusty. Tylko dzięki kolejarskiej praktyce Heńka nie mieliśmy strat, a nawet dostawaliśmy premię za doskonałe transporty. A stawki były nie byle jakie – za jeden kurs dostawaliśmy z premią tyle, ile otrzymywał urzędnik za cały miesiąc pracy.

Można też było trochę pohandlować wymiennie, jeśli np. w cukrowni kupiło się dodatkowy worek cukru, który trzeba było też umiejętnie przepuścić przez wagę na bramie. Ale i na to były sposoby, oczywiście Heńka.

Po wakacjach Henio nie wrócił do liceum – został komisarzem ziemskim w jednym z pomorskich miast. Zapraszał i mnie do pracy, obiecywał wysokie zarobki, ale ja wolałem zdobyć maturę. Tylko teraz już nie było żartów. Od września do stycznia musieliśmy przerobić program II klasy liceum, a potem zdać egzamin przed państwową komisją ze wszystkich przedmiotów, a było ich szesnaście.

Miałem trochę zarobionych pieniędzy, Bank Polski przywrócił mi, z uwagi na kontynuację nauki, rentę po mamie. Mogłem więc rozejrzeć się za mieszkaniem w Inowrocławiu, bo dojeżdżanie z Kruszwicy nie wchodziło w rachubę. Inowrocław miał wiele pensjonatów, które latem przyjmowały kuracjuszy, a na zimę zamieniały się w stancje uczniowskie. Zamieszkałem więc w „Niespo-

str. 42 ➔

Janusz Chróścielewski

Tajemnica domu: Nowogrodzka 5



W więziennej piwnicy panował półmrok i zaduch. Na pryczy zbitej z nie struganych desek, przykrytej śmierdzącym kocem, od wielu godzin Janusz siedział milczący i oso-

wiały. W ciasnej celi było ich sześciu. Prym wodził gruby mężczyzna – był silny, więc reszta musiała się podporządkować.

– No gadaj, za co cię posadzili? – dopytywał grubas.

– Nie męcz go, niech się oswoi, to będzie śpiewał, jak słowik – uspokajał grubasa starzec, ubrany w zniszczony mundur wojskowy.

– Jak mnie posadzili pierwszy raz, to też nie chciało mi się gadać.

Edward leżał obok na wznak, z dłońmi pod głową i patrzył w brudny sufit piwnicznej izby z dwoma zakratowanymi okienkami, przerobionej na więzienie. Okna wychodziły na ulicę, lecz wysoki mur z zewnątrz, który otaczał Urząd Bezpieczeństwa w tomży, niewiele przepuszczał światła i powietrza. Słychać było przytłumiony gwar przechodniów po drugiej stronie muru.

Smród unoszący się z kibla na odchody i odór dawno nie mytych ciał więźniów utrudniał oddychanie. Więźniowie, co siedzieli od dawna i niczym nie przejmowali się, bo nie byli „polityczni”. Rozmawiali, grali w cymbergaję kilkoma monetami.

– Obudźcie się studenciki! Zaraz będzie obiad – grubas pouczał nowicjuszy.

Janusz obojętny na otoczenie, przypominał sobie wstrząsające przeżycia z ostatnich godzin. Dzisiaj miała być klasówka z matematyki, a profesor był bardzo wymagający. Obaj z Edwardem od niedawna przeszli z Ogólniaka do Liceum Przemysłu Drzewnego. A to szkoła męska, więc przynajmniej dobrą nauką musieli wykazać, że nie są mięczaczami. Janusz uczył się długo wieczorem i spokojny położył się spać. Ze snu wyrwało go gwałtowne tomatanie do drzwi. Było zupełnie ciemno i nie wiedział co się dzieje. Gdy z drzwi wypadła rozbita szyba, wyskoczył z łóżka.

– Otwórz, Janusz – usłyszał drżący głos kierownika internatu. W jaskrawym świetle latarek elektrycz-

str. 42 ➔



Czy matura...

dziance" przy ul. Wilkońskiego, u pani Moniki Ligockiej i pod czujnym okiem księdza prefekta Romana Siwy. Mieszkało nas tam 26 osób – chłopców i dziewcząt ze wszystkich szkół Inowrocławia, w tym z liceum dla dorosłych tylko ja. Mieszkaliśmy w pokojach dwu- i trzyosobowych, a spotykaliśmy się w jadalni. Ja wyjątkowo dostawałem kolację później niż wszyscy, bo dopiero wieczorem wracałem ze szkoły. Mieszkalem z Felkiem Danielewiczem, niewiele młodszym ode mnie uczniem gimnazjum Kasprowicza. Ale najlepszym moim kolegą był Edek Giżewski, którego rodzice mieli sklep spożywczy w Kruszwicy. Może dlatego byliśmy sobie bliżsi. Nie wiedziałem wówczas, że do tego samego budynku, ale do „normalnego” gimnazjum, a nie naszego prywatnego liceum, chodził uczeń Józef Glemp. Był tam gdzieś w niższej klasie i niewykluczone, że był kolegą któregoś z naszych współmieszkańców.

Warunki do nauki miałem dobre, a trzeba przyznać, że nasi profesorowie, naprawdę doskonalili w swoim fachu specjaliści, nie pozwalali nam na „byłe jakie” opanowanie wiedzy.

W klasie byłem najmłodszy i właściwie nie miałem w ogóle prawa uczęszczać do tego liceum ze względu na wiek. Nasz niezapomniany dyrektor dr. por. prof.

Gregorowicz, potężny pan z okazałym brzuszkiem kilkakrotnie wpadał zadyszany (zawsze wpadał zadyszany) do klasy z okrzykiem: „Panie Smurzyński, ile pan ma lat? Niezmiennie odpowiadałem „Dwadzieścia jeden, panie doktorze!” Dyrektor uznawał tylko wymienianie któregoś z jego licznych tytułów i jeśli ktoś pominął taki zwrot upominał: „Zwraca się tytułami!”. Tak naprawdę miałem niecałe dziewięć lat. Sprawa wydała się dopiero przy kompletowaniu dokumentów do matury, ale było za późno – byłem już dopuszczony do egzaminu przez kuratorium w Toruniu.

Z profesorów pamiętam wszystkich: polonista – prof. Śliwak zaciągający z litewskiego, śpiewnik, wilniuk. Wilniukiem był też matematyk prof. Kołomyjec, który mieszkał w sąsiedniej willi przy ul. Wilkońskiego. Wychowawca i wykładowca przedmiotów handlowych, pracujący w urzędzie skarbowym – mgr Zygmunt Grocz, który „przykrywał” nasze wybryki, a potrafił się np. strzelać petardami w klasie, mimo że średnia wieku uczniów była około trzydziestki. Oberwano się też nam raz za uwielbianego przez uczniów sędziego Czyścickiego, który wykładał prawoznawstwo. To dzięki niemu do dzisiaj swobodnie obracam się pomiędzy paragrafami. Niejednokrotnie pytali mnie zawodowi prawnicy, czy studiowałem prawo. Sędzia lubił w czasie wykładu palić papierosa. W klasie było to nam zabronione. Pewnego razu wpada do klasy dyr. Gregorowicz ze swym słynnym już pytaniem o wiek p. Smurzyńskiego. Sędzia staje przy

Tajemnica domu...

nych zobaczył wkraczających dwóch mężczyzn w cywilu.

– Ręce do góry! – krzyknął jeden.

Zaświecili w oczy latarkami.

– Tak, to jest Janusz – usłyszał głos kierownika, który zapalił światło i stał w pidżamie, drżąc cały.

– To ten wróg ludu! Mamy go – zachrypiał drugi. Szybko wyciągnął rewolwer i skierował go w stronę chłopca, stojącego z podniesionymi rękami. Z minami zwycięzców oglądali drobną postać 18-letniego „wroga”.

– O co chodzi? – spytał Janusz. Jednocześnie w myślach badał różne sytuacje. Jakie popełnił przestępstwo?

– Co, nie wiecie? To się dowiecie! – warknął ten z rewolwerem.

– Nie jestem niczego winien – oznajmił Janusz.

– Nie mędrkować, ubierać się! Pójdziecie z nami!

– Jest noc, nie jestem winien i nigdzie nie pójde!

– Co, stawiasz się? Ty gówniarzu! Zarepetował z trzaskiem rewol-

wer. Dwa naboje wypadły i potoczyły się pod łóżko.

– Ubierać się! – ryknął ten drugi.

Janusz powoli opuścił ręce, popatrzył na bladą twarz kierownika i na tyłek szukającego naboju pod łóżkiem. Na drugim łóżku, jego kolega udawał, że śpi i nic nie słyszy. Janusz ubierał się, a groźna lufa ciągle sterczała nad jego głową.

Wlekli go ulicami miasta, ująwszy pod ręce. Wiedział już że go prowadzą na ulicę Nowogrodzką. To są ubeki! O tym urzędzie mówiło się cicho i ze zgrozą. Tam właśnie dokonywano wielu zbrodni na niewinnych ludziach tylko dlatego, że byli Polakami i nie kochali nowego ustroju stalinowskiego.

Nieliczni przechodnie o tej porze, na ich widok umykali na drugą stronę ulicy, a jemu chciało się krzyczeć, że jest niewinny! Za co go....

Zgrzytnęły klucze otwierające stalowe kraty w piwnicy. Wepchnięto go do celi i zaryglowano drzwi. Siedział na betonowej podłodze w ciemności i zaduchu. Gdzieś z kąta dolatywa-

ło chrapanie. Nad ranem do tej samej celi wepchnięto Edwarda. Wtedy dopiero obudzeni więźniowie otoczyli ich kołem dopytując kim są i za co ich zamknęli. Rzecz w tym, że oni sami nie wiedzieli za co się tu znaleźli.

– No dobrze, w nocy będzie specjalny telefon i się wyjaśni. Nowi nie wiedzieli co to za telefon i tak zostało.

Więźniowie przygotowywali się do obiadu. Wyciągali blaszane łyżki, miski i schowane kawałki chleba.

– Przygotować się do obiadu! – wrzeszczał strażnik i otworzył drzwi. Więźniowie tłoczyli się z miskami.

– Mamy dwóch nowych, nie mają misek – rzekł gruby.

– Ale wy macie, to się podzielić, potem załatwie.

Strażnik zatrzasnął drzwi. Więźniowie jedli w milczeniu, spoglądając po sobie. Wreszcie któryś podsunął miskę Januszowi z resztkami jakiejś lury. Janusz nie ruszył się.

– Nie to nie! Zabrał miskę, zjadł resztki i wylizal.

– Nie trzeba będzie myć – uśmiechnął się.

Tak bez jedzenia minął pierwszy dzień aresztu, ale nie byli głodni. Następnego dnia rano, grubas wy-



oknie z rękami z tyłu i schowanym w nich papierosem. Dyrektor, który sam nie palił, zapomniał o pytaniu, pociągnął nosem i zagrział: „A prosiłem państwa, żebyście nie palili w klasie!” I wypadł na korytarz. A pan sędzia wolniutko odszedł od okna, pociągnął papierosa i stwierdził tonem konfidencjonalnym: „Ale mi przygadał!”

Zgodnie z programem powinniśmy też uczyć się przysposobienia wojskowego. Jako por. rezerwy teoretycznie wykladał je dyrektor, ale był wśród nas zawodowy oficer służby czynnej por. Kucharczyk. Wobec tego dyrektor zlecił mu, aby nas w tej wiedzy, w jego zastępstwie oświecał. I robił to znakomicie. Do dzisiaj pamiętam rozkładanie i składanie RKM Diegtiarewa, który Kucharczyk kiedyś przytargał na lekcję.

Nie nudziło się nam i w Niespodziance. Ponieważ dziewczęta mieszkaly w odrębnym skrzydle, do którego można było dostać się po dachu, bywało że któraś wychodząc w nocy z pokoju wpadała na dyndającego na belce „wisielca”. Wrzask podnosił na nogi całą Niespodziankę, a pani Ligocka rano dochodziła, czy wypchana koszula, którą znalazła powieszoną na belce po dziewczęcej stronie – to własność pana Smurzyńskiego, czy też pana Giżewskiego, a może Felka Danielewiczca? Nigdy „nie mogliśmy rozpoznać” tego szczegółu naszej garderoby.

Początkowo na soboty i niedziele jeździłem do rodziny w Bydgoszczy, ale pod koniec semestru nie mia-

łem już czasu ani na wyjazdy, ani na żadne kawaty. Nie wyjechałem nawet na święta, bo w połowie stycznia rozpoczęła się matura. Wszyscy z Niespodzianki wyjechali, a ja zostałem i kułem. Zdawaliśmy przed komisją z Torunia – siedziby kuratorium. Pisaliśmy trzy egzaminy pisemne: z polskiego, matematyki i księgowości, a potem zdawaliśmy szesnaście ustnych, w czterech podkomisjach. Poszło mi nieźle. Tylko z maszynopisania, za pisanie dwoma a nie dziesięcioma palcami, dostałem trójkę. Reszta – same czwórki, jeśli nie wspomnieć piątki od ks. Siwy. I tak 22 stycznia 1947 roku stałem się dojrzałym. Fakt ten został uczczony podwójnie: w Niespodziance poszliśmy na mój koszt do fotografa, gdzie zrobiliśmy sobie pamiątkowe „rodzinne” zdjęcie z panią Ligocką i ks. Siwą (byłem pierwszym maturzystą w historii Niespodzianki), a potem odbyła się – również na mój koszt – kolacja, na którą podano świńską nogę w kapuście, co według pani Ligockiej było najelegantszym daniem kujawskim.

W liceum również zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcie z naszymi profesorami, ale kolacja była już w normalnej restauracji, w najelegantszym hotelu Inowrocława – „U Basta”. Potem pani Ligocka leczyła mnie sokiem z kapusty.

I tak zakończył się dla mnie dylemat „czy matura, czy chęć szczera...”, a rozpoczął kolejny etap, teraz już dorosłego życia.

Jerzy Smurzyński

znaczył ich do wyniesienia kibla. Była to blaszana bańka, do której zatawali się wszyscy w celi. Wynosili ten ohydny pojemnik bez szemrania przez wiele dni. Podobało się to pozostałym więźniom, więc im nie dokuczali.

– Może czegoś dowiemy się po drodze – myśleli obaj.

Wartownicy byli jednak małomówni. Zauważyli, że areszt był przepelniony. Raz jeden wartownik na chwilę uchylił judasza i pozwolił zajrzeć do innej celi.

– Tam siedzi jeden z waszych – mruknął.

Nie mieli wątpliwości, to był Zenek, ich zastępowy ze Związku Harcerstwa Polskiego.

Mijały dni, a nikt z zewnątrz nie interesował się nimi. Powoli przyzwyczajali się do warunków, w których przyszło im żyć. Słuchali opowieści zmyślonych, czy rzeczywistych przegód współtowarzyszy niedoli. Każdy z nich starał się przedstawić, jako bohater, ale z niedomówień można było wywnioskować, że siedzą za kradzieże i rozboje. Byli już przestuchiwani i wiedzieli co ich czeka. Tylko oni dwaj nie wiedzieli za co tu są.

Prowadzili szeptem niewesołe rozmowy, co będzie ze szkołą, co

będzie dalej z nimi? Tysiące razy rozważali różne sytuacje, gdzie mogliby popełnić jakieś przestępstwo, ale nic z tego nie wynikało. Każdy z nich analizował swoje krótkie jeszcze życie. Tak niedawno skończyła się wojna. Przetrwali jakoś, choć nie było łatwo. Za Sowietów uniknęli wywózki na Syberię. Za okupacji hitlerowskiej Janusz i jego koledzy dokonywali tak zwanej małej dywersji: Niemcom podkradali broń, amunicję i zanosili partyzantom do lasu. Psuli sprzęt wojskowy. Janusz pamięta, gdy w nocy podbierał benzynę z niemieckiego samochodu i został ostrzelany. Ledwo uszedł z życiem!

Ale to wszystko już przeszłość. Przyszło wyzwolenie i nastąpiła Polska Ludowa. Głośno było o potwornej zbrodni dokonanej na polskich oficerach w Katyniu, jakoby przez hitlerowców. Nie znane w historii ludzkości obozy masowej zagłady Oświęcimiu, Majdanku i wiele innych miejscach nigdy nie mogą się powtórzyć! Tak głośno państwowe hasła. Na straży pokoju, sprawiedliwości, w świetlaną przyszłość poprowadzi ustrój socjalistyczny!

W tym „sprawiedliwym” ustroju, Janusz zdążył ukończyć Gimna-

zjum i już stał się więźniem, nie wiadomo za co.

Tymczasem, pozostali więźniowie urządzali sobie „imprezy artystyczne”. Opowiadali sprośne kawaty, opisywali swoje wyczyny damsko-męskie, próbowali mocy swoich genitaliów. Edward i Janusz odmawiali udziału w tych „zabawach”.

Pewnego wieczoru do celi przybył nowy więzień – chłop ze wsi, oskarżony o napad na posterunek milicji. Grubas wyznaczył mu miejsce na pryczy i na razie dali spokój. W nocy Janusza wyrwały ze snu jakieś krzyki.

– Kaliniak, jesteście na przestłuchaniu! Odpowiadać!

W ciemnościach słysząc było tubalny głos pytającego.

– Ile macie świń, ile dzieci? Czy macie kochankę, ile razy z żoną, kochanka lepsza? A ten napad na milicję, gdzie broń ukryta?

Kaliniak zerwał się z pryczy i postusznie odpowiadał na głupie pytania, zanim zorientował się, że to jakiś kawał. Więźniowie wybuchli śmiechem. Wartownik zapalił światło i uciszał rozbawionych żartownisiów. Spod pryczy wylazł ten w wojskowym mundurze, z długim butem,



Tajemnica domu...

z którego przed chwilą wydobywał się jego tubalny głos.

– To był fajny telefon specjalny! – cieszyli się.

Po obiedzie wymyślili nową zabawę.

– Mam papierosa. Kto chce zapalić, musi go wygrać – powiedział grubas i pokazał papierosa. Kaliniak był namiętym palaczem i zgodził się na udział w grze. Trzeba było wyjąć ustami ten papieros z zaciśniętych dłoni, ale z zasłoniętymi oczami. Pierwszy poszedł staruch, który znał zabawę i dostał papierosa. Następny był Kaliniak. Gdy stanął w kącie i zawiązano mu oczy, grubas szybko zdjął spodnie i wystawił obnażony tyłek. Edek i Janusz patrzyli z obrzydzeniem, jak Kaliniak ustami obmacywał tyłek grubasa, zanim zorientował się, że znów go oszukali. Więźniowie ryczeli z radości.

Chłopcy stracili już rachubę czasu. Wydawało im się, że siedzą całe lata. Żadnych wiadomości z zewnątrz, żadnego zainteresowania ze strony ubeków. To było straszne! Niszczyło psychicznie – jakby już nie żyli. Głodowali niedomyci, nie gołoni, spali w ubraniach, no i te wszy! – wszędzie było ich pełno. Żadne zabiegi nie umniejszały udreki. Wyneźdzniali i brudni teraz wyglądali na prawdziwych bandytów. Aby nie rozmyślać nad swoim losem i nie zwariować, przypominali sobie róż-

ne wiersze i uczyli się ich na pamięć. Z zamkniętymi oczami odbywali długie wędrówki – trzy kroki w przód, trzy do tyłu. Wyobrażali sobie pola oszronione przymrozkiem, cichy jesienny las, chociaż w celi był zaduch. Więźniowie zgodnie ustawiali się w kolejce pod otwartym okienkiem z kratą, aby pooddychać świeżym powietrzem.

Pewnego dnia usłyszeli z ulicy znaną piosenkę „Przy drodze stoi biały dom, w okienku błyszczą ranne zorze...” – śpiewał męski chór, w rytm dudniących po bruku kroków.

– Edek, to nasi! Nasza klasa, to oni śpiewają! A my tu gnijemy – szepotał Janusz ze łzami w oczach.

Edward pobladły podszedł do drzwi:

– Wypuście nas, dranie! Czego od nas chcecie! – krzyczał. Skoczył do pryczy, wyrwał deskę i bił nią z furii w stalowe blachy drzwi. Więźniowie stali w osłupieniu. Drzwi otworzyły się, stało w nich dwóch drabów. Chwycili Edka za ręce, za nogi i wywlekli na korytarz. Trzeci grzmocił go po głowie i brzuchu. Edward wyrwał się oprawcom, lecz powalili go na podłogę i kopali z wściekłością. Gdy przestał się bronić, wylali na niego kubek wody i drzwi się zatrzasnęły. Przerażeni więźniowie siedzieli na pryczach.

– Edek nie wrócił do celi. Wartownik powiedział, że siedzi teraz w karcerze. Nie ma tam pryczy, nawet stoł-

ka, ale jest zimna woda po kostki.

– Ochłodzi go – rzekł z uśmiechem – a tu ma być spokój, bo są tam jeszcze wolne miejsca.

Znowu miały dni, jeden podobny do drugiego. Nocą, czasem słychać było bieganinę na górze, warkot silników samochodowych i pojedyncze strzały. Wartownik mówił, że wyjeżdżali na akcję. Pod Wizną, na bagnach wciąż ukrywają się jakieś bandy „wrogów ludu”.

Jednego dnia przy wydawaniu obiadów asystował porucznik Kłos. Janusz rozpoznał w nim jednego z tych którzy go tu sprowadzili.

– Obywatelu poruczniku, kiedy mnie przesłuchacie, przecież nie wiem nawet za co siedzę? – spytał Janusz.

Porucznik ujął się pod boki i uśmiechał ironicznie.

– Przesłuchamy, jak psu dupa zarośnie, a już nieduża jak dziesięć fenigów. Salwa grzecznościowego śmiechu więźniów dała satysfakcję porucznikowi.

– To się dowiedziałeś! – zadrwił grubas.

– Jeden taki, co się dopytywał za dużo, to go potem co noc brali na przesłuchanie, a w dzień spać nie wolno, mało nie wykitował.

Jednak pewnej nocy wezwali Janusza na górę. Zerwany ze snu, znalazł się w prawie pustym pokoju, oświetlonym słabą żarówką. Za biurkiem siedział zmęczony cywil i bawił się rewolwerem. Przez dłuższy czas, zdawał się nie zauważać, że chłopak przed nim stoi.

Wieści z oddziałów

19 marca przedstawiciele Oddziału Krakowskiego uczestniczyli w spotkaniu autorskim Jerzego Surwiło z Wilna, połączonym z promocją jego książki zatytułowanej „Spacerkiem z Marszałkiem po Żmudzi, Wilnie i Wileńszczyźnie”. Spotkanie odbyło się w dniu imienin Józefa Piłsudskiego. Organizatorami byli: Komendant Naczelny Związku Legionistów Polskich, Muzeum Czynu Niepodległościowego oraz Instytut Józefa Piłsudskiego w Kraju. Wśród gości byli także przedstawiciele Związku Legionistów Polskich, Związku Harcerstwa Polskiego oraz Obywatelskiego Komitetu Uczczenia Pamięci Józefa Piłsudskiego. Artystów Krakowa reprezentowała Halina Cieślińska – Brzeska (witrażystka), pochodząca z Augustowa. Obecni byli przedstawiciele towarzystw regionalnych oraz legenda „Solidarności”, Anna Walentynowicz. Uczestnicy wysłuchali m.in. fragmentu wiersza „Litwa” Kazimierzy Iłłakowiczówny:

Przejdę góry i przejdę rzeki
Aż do topieli...
Która Polskę przez wszystkie wieki
Od Litwy dzieli.
Przejdę łąkę i przejdę borem
I szlak mój skończę
Tam gdzie Litwę z Polską jezioro
Na wieki łączy
Na mogiłkach – jaśminy dzikie
U wód niebieskich
Tam śpiewają w maju słowiki
Polskie... litewskie
Wiele było kładek i mostów
Wiele zawiodło...
A ja będę za Litwę po polsku się modlić...

Ewa Chętnik-Donatowicz
Prezes Oddziału Krakowskiego TPZŁ



– Powiedz, do jakiej organizacji zachodniej należysz? Kto was opłaca? – powiedział spokojnym głosem i utkwil w chłopcu przekrwione oczy.

– Ja, do zachodniej organizacji? – zdziwił się Janusz. – Należałem do Związku Harcerstwa Polskiego, a to nie była organizacja opłacana przez Zachód.

– Nie mydlić, bo i tak o was wszystko wiemy!

– To po co mnie męczycie, skoro wszystko wiecie?

– Co to za organizacja „Atomy”, „Bracia atomy”?

– „Atomy”? Pierwszy raz słyszę o takiej organizacji!

– Do cholery odpowiadaj! Bo jak ci przypieprzę, to wszystko sobie przypomnisz!

Wyskoczył zza biurka, machnął pistoletem przed nosem chłopca. Szybko się jednak opanował i usiadł.

– To ja z tobą po dobremu, a ty udajesz głupka? Wiemy, że jest taka organizacja, wroga organizacja. My ją rozbijemy! A ty nie jesteś głupi, chcesz się uczyć, a to od nas zależy. Musisz nam pomóc. Masz dobrą markę u kolegów, należysz do tajnej organizacji. Przecież wiemy o tym waszym harcerstwie, tam w piwnicy, w gruzach zbieraliście się. Wywrotowe piosenki, wiersze... Ty trochę posłuchasz, popytasz i nam powiesz, co tam się dzieje, kto przewodzi? Niczego więcej nie trzeba! Przyda ci się parę złotych, a jak chcesz, dam ci taką zabawkę – wskazał na pistolet. Sięgnął do biurka i wyciągnął jakiś formularz.

– Przeczytaj i podpisz – powiedział zachęcająco.

Janusz popatrzył na zadrukowany arkusik: „Ja, niżej podpisany zobowiązuję się do współpracy z Urzędem Bezpieczeństwa...”

– Ale trafiłicie, nie nadaję się na szpicla, niczego nie podpiszę. Chcę uczciwie żyć i pracować.

Cywil schował formularz i wezwał wartownika.

– Odprowadzić! – rozkazał. – Namyśl się jeszcze, żebyś nie żałował! – rzucił na odchodne.

Gdy Janusz wrócił do celi, nie mógł już zasnąć. Różne myśli kłębiły się w głowie.

Tajna organizacja powiązana z Zachodem, co to może być? Teraz przypomniał sobie, że jego starszy kolega już wcześniej był aresztowany, a do harcerstwa nie należał. Więc chyba naprawdę istnieje tajna organizacja. Janusz przypomniał sobie także, że ten właśnie kolega zapraszał go kilka razy do swego domu, gdzie potajemnie słuchali audycji radiowych z Londynu i Wolnej Europy. Rozgłośnie te były zagłuszane, ale czasem było je dobrze słychać. Mówili tam dziwne rzeczy o Związku Radzieckim i o Polsce, zupełnie inaczej niż w polskim radiu i oficjalnej prasie. Kolega ten znał ich tajną działalność harcerską. Pochwalał organizowane przez nich obchody polskich świąt państwowych, jak trzeci maja, jedenasty listopada, które przez władze były zabronione, a w ogólniaku się odbywały. Urząd Bezpieczeństwa nie wiedział jeszcze kto organizuje te manifestacje i chyba za to zdjęto ze stanowiska panią dyrektor ogólniaka, wspaniałą polską patriotkę, dr Stanisławę Osiecką. Zapewniał, że jeszcze z Januszem spotka się i zaproponuje ciekawszą działalność dla dobra Polski. Nie zdążył, zamknęli go.

– Atomy, bracia atomy? – Janusz rozmyślał i zaczęło mu świtać – No tak, już wiem!

Były to czasy, gdy nie ucichły jeszcze straszne wieści z Japonii. Szóstego sierpnia 1945 roku, po raz pierw-

szy Amerykanie zrzucili bombę atomową na Hiroszimę. W kilka sekund znikło z powierzchni ziemi 250-tysięczne miasto! Zginęło ponad 200 tysięcy ludzi! Ujawniono straszliwą broń masowej zagłady. Cały świat był w szoku. Ale też słyszało się, że energia atomowa może być wykorzystana dla celów pokojowych. Będzie można budować silniki, elektrownie atomowe i nie musi to być siła niszczycielska. To działało na wyobraźnię.

Teraz dopiero Janusz przypomniał sobie, że gdy na jednej ze zbiórek harcerskich w ich tajnej piwnicy wybierali dla swojego zastępu nazwę i emblemat. Ktoś zaproponował „Atomy”. Wszyscy się zgodzili i nazwali się „Bracia atomy”.

Jeszcze kilka razy brali Janusza na nocne przesłuchania. Pytali o te atomy, co robili, kto należał, kto kierował. Namawiali też do współpracy. Kiedy wyjaśniali im, że to tylko nazwa zastępu harcerskiego, usłyszeli:

– To też tajna organizacja – te piosenki o Piłsudskim, wywrotowe wierszyki, modlitwy! Koniec z takim harcerstwem! Teraz jest Polska Ludowa!

To była prawda. Zastęp „Atomy” podtrzymywał polskie tradycje. Harcerze, którzy ginęli w Powstaniu Warszawskim byli dla nich wzorem patriotycznej młodzieży polskiej. Nie akceptowali narzucanej przez władze obcej ideologii jakichś „Czerwonych Pionierów”. Gdy zakazano patriotycznej działalności, przeszli do podziemia dosłownie i w przenośni. W gruzach byłego seminarium nauczycielskiego przy ulicy Stacha Konwy znaleźli nie zniszczoną piwnicę, wysprzątała i tam się spotykali. Ktoś jednak odszukał i zniszczył tę ich tajną świetlicę. Na ostatnim przesłuchaniu, gdy Janusz stanowczo odmówił współpracy, dwaj ubecy rzucili się na niego, bili kablami i kopali leżącego.

– Poznaj rękę władzy, ty szczeniaku! Jeszcze sobie o nas przypomnisz. Będziesz tylko robotem!

Po kilku dniach, do celi wrócił Edward. Trudno było go poznać – przeziębiony, posiniaczony, ogromny guz na czole.

– Wiesz za co siedzimy? – spytał Janusz.

– Wiem, wiele razy mnie przesłuchiwali. Pytali o tajną organizację „Atomy”. Bili mnie, ale nic nie powiedziałem. Straszyla, radzili skończyć z harcerstwem i wstąpić do Związku Młodzieży Polskiej.

– Mnie też przesłuchiwali. Wiedzą wszystko o nas, o naszych zbiórkach, tam w piwnicy. Nie ulega wątpliwości – ktoś nas zdradził, ktoś z naszych kolegów.

Uplętnęło jeszcze kilka dni. Pewnego ranka wartownik wezwał Edwarda i Janusza do wyjścia. Zaprowadził ich do łazienki na górze, dał ręcznik, mydło i żyletki.

– Umyć się, żebyście wyglądali, jak ludzie. Przecież źle was tu nie traktowaliśmy. To, co tu się działo jest ścisłą tajemnicą państwową. Dobrze zapamiętajcie to sobie! – ostrzegł groźnie.

Nikt ich nie pilnował, okno nie było zakratowane. Szybko, z radością pozbyli się wielomiesięcznego brudu. Gdy byli umyjni, wartownik zaprowadził ich do dużej sali wypełnionej ludźmi.

– Januszku kochany! – zapłakała matka i wzięła go w ramiona. Ojciec stał sztywny, ze ściśniętym gardłem i też mu się oczy pocily.



Tajemnica domu...

Rodzice Edka nie mogli go poznać. Stali, patrzyli i tzy płynęły im po policzkach. Wprowadzili Zenka.

– Czołem koledzy! Czuwaj! – zawołał i podszedł do matki. Widać było wielu innych kolegów siedzących na sali. Przyszedł cywil, znany chłopcom z przestucharów.

– Jesteście wolni! – oznajmił chłopcom przyprowadzonym z aresztu. – Pamiętajcie jednak, że wróg nie śpi.

I wy, i wasi rodzice macie szanować nasze prawo, prawo Polski Ludowej! Nie dać się usidlić wrogowi. Otańczamy was opieką, ale będzie i kara, gdy będzie trzeba.

– Dziękujemy za waszą „opiekę”! – wyrwał się Zenek. – Tyle miesięcy mężczyście nas, nie wiadomo za co!

Bez nakazu prokuratora, bez postawienia konkretnych zarzutów, bez sądu! Wasza „opieka”, to bezprawie!

– Wychodź! – wrzasnął cywil i sam wyszedł.

Był koniec grudnia. Ulica zasypała śniegiem wydała się chłopcom ogromnie szeroka, jakby ją widzieli pierwszy raz. Czyste, zimne powietrze zatykało dech.

Po kilku dniach, Edek i Janusz poszli do szkoły. Niektórzy koledzy z klasą omiaili ich z daleka. Inni cieszyli się

z ich powrotu, dopytywali co i jak? Wezwał ich dyrektor szkoły, inżynier Sosnowski. Ten wspaniały człowiek o nic nie pytał. Sekretarka przyniosła herbatę, co było wielkim zaszczytem dla uczniów. Dyrektor opowiadał, że kupili nowe maszyny do warsztatów. Widać było, że cieszy się z ich powrotu. Mówił o potrzebie odbudowy Ojczyzny ze zniszczeń wojennych, że Polska potrzebuje światłych, dobrze wykształconych fachowców.

– Do nauki, do pracy panowie! Przed wami jeszcze całe życie! Niech będzie pracowite i godne.

Z ciepłym uśmiechem uściłnął im dłonie.

Janusz Chrościelewski

Olsztyn, 1972 r.

Krzysztof Sychowicz

Pisać, byle pisać?

Ukazanie się nowej pozycji zazwyczaj wywołuje radość, gdyż dostarcza ona nowych materiałów dla zajmujących się badaniem przeszłości naukowców. Dzieje się tak, gdyż są one bogatym zbiorem materiałów źródłowych lub przedstawiają nowe założenia i dowody. Niestety, Ziemia łomżyńska ostatnimi czasy nie ma szczęścia do pozycji opisujących jej dzieje z lat 1941–1956. Te, które się ukazują pełne są błędów faktograficznych i po prostu niedopracowane.

Najnowsza praca Czesława Brodzickiego „Łomża i powiat łomżyński w latach II wojny światowej i trudnych latach powojennych” stanowi najlepszy tego przykład. Już na wstępie rzuca się w oczy wręcz olbrzymia liczba literówek, wypaczających czasami cały sens zdania. Autor chlubiący się szeregiem zwartych publikacji wydanych na przestrzeni ostatnich lat powinien raczej pamiętać o dokonaniu korekty, co w dzisiejszej dobie komputeryzacji nie stanowi problemu przy wydaniu takiej książki.

Będąca wynikiem trwających 12 lat pracy (stwierdzenie autora podczas promocji) nie dostarcza zbyt wielu nowych informacji. Zdziwienie znika po bliższym zapoznaniu się z jej treścią, opartą w przeważającej mierze na przestarzałej literaturze, uzupełnianej jedynie w miarę potrzeby fragmentami nowszych opracowań i to tylko wtedy, gdy odpowiadało to tezie założonej przez autora. Przykładem może być praca W. Żarskiego-Zajdlera cytowana bez chociażby próby weryfikacji w wielu miejscach przesadzonych danych.

Jak na pracę, która wymagała „tytanicznego trudu” nie widać w niej efektów tych „zmagani”. Nie dokonano kwerendy archiwalnej w Archiwum Państwowym w Białymstoku, pominięto bodajże najbogatsze zbiory w Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Białymstoku, nie uwzględniono ani rozwoju, ani szerszej działalności

UB w Łomży. W rzeczywistości najszczegółowiej opisane zostały lata 1939–1945 [140 stron], natomiast okres powojenny do 1957 r. zajął tylko 50 stron. Już w związku z tym dla postronnego, nawet nie zaznajomionego z tematem czytelnika, oczywiste jest, że stanowi ona bardziej zarys problematyki, aniżeli przedstawienie istoty wydarzeń. Jest to raczej zbiór czasami wartościowych materiałów przytaczanych jednak, jak się wydaje, bez jakiegokolwiek planu i pomysłu na wykorzystanie. Autor używa też nieprawidłowej, pochodzącej z innej epoki terminologii, m.in. pisze o wojnie niemiecko-rosyjskiej w 1941 r., czy okupowaniu ziem polskich „prawie dwa lata przez Rosję”. Są to tylko nieliczne z wielu przykładów, które można przytoczyć na potwierdzenie tej tezy. Szczytem jest natomiast podpis pod jedną z fotografii „zalatujący” PRL-em i propagandą tamtego okresu, otóż brzmi on: „Józef Szkudelski – uczestnik walk z reakcyjnym podziemiem, przyczynił się do rozpracowania i likwidacji „Ryby”. Pod spodem, bez żadnej dodatkowej adnotacji umieszczono zdjęcie tegoż „reakcyjnego” Stanisława Marchewki „Ryby”.

Skoro już jesteśmy przy zdjęciach to są one chyba jednym z nielicznych atutów tej książki obok relacji świadków tamtych wydarzeń, gdyż w przeciwieństwie do dokumentów wiele z nich zostało opublikowanych po raz pierwszy. Szkoda tylko, że przy niektórych zabrakło choćby krótkiej informacji przybliżającej losy przedstawionych na nich osób. Mimo tego jest to wspaniały zbiór i dobrze, że chociaż przy takiej okazji ujrzał on światło dzienne.

Podsumowując tę krótką ocenę trzeba podziękować za trud włożony przez autora w przygotowanie tej pozycji, który został w dużej mierze zniweczony przez fatalną korektę i redakcję. Pozostaje też mieć nadzieję, że może ukazujące się w przyszłości prace dotyczące Łomży i jej okolic będą wreszcie przygotowane przyzwolnie od strony warsztatowej.

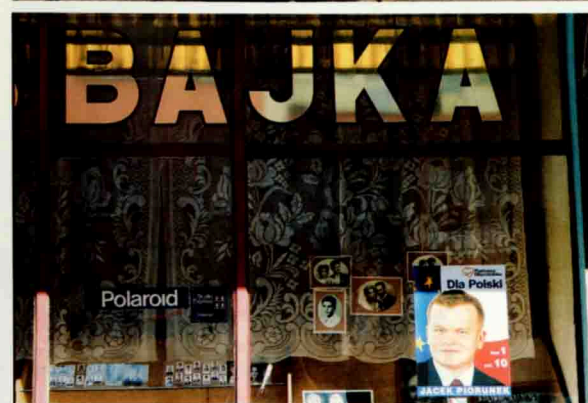
Czesław Brodzicki, *Łomża i powiat łomżyński w latach II wojny światowej i trudnych latach powojennych*, Warszawa 2004.



Do Europarlamentu

Jan Jarota (1255 głosów) zdobył największe poparcie łomżan w wyborach europejskich. Kandydat Ligi Polskich Rodzin wygrywał w 16 z 33 usytuowanych w tomży obwodów do głosowania. Na drugiej pozycji uplasował się Waldemar Pędziński z Prawa i Sprawiedliwości – zdobył on 1152 głosy. Trzeci w eurowyborach wśród łomżyńskich kandydatów był Jacek Piorunek (PO) – 891 głosów, a czwarty Janusz Nowakowski (IdP) 652 głosy.

W skali byłego województwa łomżyńskiego dane przedstawiają się następująco: Liga Polskich Rodzin: 12305. 1. Bogusław Rogalski: 3638, 2. Jan Jarota: 3502, 3. Marek Wasilewski: 1285. Samoobrona: 8022. 1. Bolesław Borysiuk: 1856, 2. Tomasz Gan: 1423, 3. Wojciech Babiński: 1223. Platforma Obywatelska: 7028. 1. Barbara Kudrycka: 3406, 2. Krzysztof Hołowczyc: 1716, 3. Jacek Piorunek: 1260. Prawo i Sprawiedliwość: 4731. 1. Waldemar Pędziński: 1935, 2. Aleksander Szczygło: 1573 3. Jan Żochowski: 422. Żaden mieszkaniec tomży tym razem jeszcze nie wsiadł do pociągu do Brukseli.



Pozdrowienia z Atlantyku

Takich zdjęć naszego flagowego statku, m/v ŁOMŻA jeszcze nie widział nikt. No, może z wyjątkiem Matki Chrzestnej, p. Teresy Schramm, która z mężem Stanisławem miała przyjemność spędzić na „łomży” dwa tygodnie w rejsie na trasie Szczecin – Finlandia – Kłajpeda – Nantes – Gdańsk. Sztorm, jaki przeżyła podczas tej wyprawy na zawsze pozostanie w jej pamięci. Okazuje się, że „kolebania” to dla „łomży” pestka. Znacomie uchwycił to obiektywem swojego aparatu obecny kapitan statku, Marek Wilczyński. Zdjęcia dotarły do nas



pocztą elektroniczną. Dziękujemy! W poniedziałek rozmawialiśmy z panem kapitanem telefonicznie. „łomża” wypłynęła właśnie z Gibraltaru i znajdowała się nieopodal przylądka St. Vincent na Atlantyku. W ładowniach – fosfaty, a kraj docelowy – Belgia. Kapitan Marek Wilczyński wraz załogą pozdrawia serdecznie wszystkich łomżniaków w kraju i za granicą, wszystkich członków i sympatyków Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej. Rewanżujemy się serdecznościami i dobrymi życzeniami na każdy dzień morskiej i lądowej wędrówki, a szczególne uściski dłoni z okazji Dni Morza. Mamy nadzieję – do zobaczenia w Łomży.

Fot. Marek Wilczyński

Wydawca: Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, 18-400 Łomża, ul. Polowa 22, tel./fax (086) 216 28 33.
Redakcja: Wawrzyniec Kłosiński, tel. (086) 216 49 72; 0601 394 365.
Zdjęcia: Józef Babel, archiwa
Opracowanie graficzne i montaż elektroniczny: Tadeusz Babel
Druk: ScanCom, ul. Wojska Polskiego 169, tel. 216 55 81
Biuro TPZŁ czynne: poniedziałek – piątek od 8.00 do 15.00

ISSN: 1509-6912